





Gdy samolot oderwał się od płyty paryskiego lotniska i skierował się na wschód, z każdą chwilą zmniejszał odległość dzielącą Paryż od Warszawy, Janusz Jałoń odczuł lekki skurcz w gardle.

– Co za bzdura! Tego tylko brakowało, żebyśmy stali się sentymentalni.

Sięgnął po papierosa i wtedy właśnie uwagę jego przykuła głowa kobiety siedzącej w przedniej części kabiny. Czyżby to była Sylwia? Nie zauważył jej przedtem. Ale przecież wpadł na lotnisko niemal w ostatniej chwili... Tak, to była Sylwia! Sylwia Norkstein – jak zawsze elegancka, z fryzurą prosto od fryzjera, z twarzą – Boże, jak te latka lecą! – prosto od kosmetyczki.

Poprawił się w fotelu nie spuszczać z niej oczu. Sylwia w tym samolocie! Przypadek, czy też... Nerwy, nerwy... Po cóż miałyby lecieć specjalnie z nim?

Próbował zająć się gazetami, jednak co chwila zdawał sobie sprawę, że czyta nie rozumiejąc treści. Niepokój nie ustępował. Początkowo przypuszczał, że Sylwia wysiadzie w Berlinie. Na lotnisku jednak szybko przekonał się, że dalszą podróż odbędą również wspólnie. Ukłonił się jej, gdy siedziała przy bufecie. Odpowiedziała mu lekkim skinieniem głowy, a na jej twarzy odbiło się zaskoczenie i zmieszanie. Odstawiła filiżankę z niedopitą kawą i sięgnęła po papierosa. Niemal w tej samej chwili Jałoń stał przy niej z zapaloną zapalniczką, szarmancki i ugrzeczniiony.

– Czy piękna pani udaje się również do naszej socjalistycznej ojczyzny? Cieszę się wobec tego, że po 24 latach pierwsze kroki na ziemi ojców naszych postawię w tak uroczym towarzystwie.

– Odczep się! – ton jej głosu nie zachęcał do dalszych grzeczności.

– Zabawna jesteś! – Jałoń uśmiechnął się ironicznie. – To chyba, jasne, że nie zakłócę twego spokoju jedynie dla sentymentu, jaki niewątpliwie do ciebie żywię...



– Ja też tak myślę. O co ci chodzi? – była wyraźnie zdenerwowana.

– Och, nic. Wiesz, na lotniska w Warszawie ma mnie spotkać Perlik...

– Kto?

– Czyżby moja dykcja w ostatnich czasach szwankowała? A może to ty coś ze słuchem?...

– Zupełnie, ale to zupełnie nie mam ochoty wysłuchiwać twoich żartów... I wcale nie interesuje mnie twoje spotkanie z Gustawem – dodała po chwili.

– Więc jednak go pamiętasz? To mnie cieszy...

Zamilkł i beznamiętnym wzrokiem wpatrywał się w przechodzących obok nich ludzi. W następnej chwili w oczach jego błysnęło zainteresowanie – mijaly Ich dwie młode, zgrabne i eleganckie kobiety. Jałoń odprowadził je wzrokiem pełnym uznania, po czym ze swobodą światowca wrócił do przerwanej rozmowy.

– O czym to mówiliśmy? Ach, Perlik! Wiesz, zajmuje się literaturą... i żyje z literatury. Wyobraź sobie, że stał się niezłym pisarzem. Podobno wydają go dość często.

– Skąd o tym wiesz?

– Dowiedziałem się całkiem przypadkiem. Zresztą obecna profesja Gustawa nie jest teraz rzeczą najistotniejszą. Uważam, że ważniejsze jest, abyśmy zeszli na płytę lotniska w nastrojach sprzed 25 lat. Jak przyjaciele... Zresztą to będzie zgodne z prawdą, nie uważasz?

– Jeśli chcesz... Jest mi to zupełnie obojętne – powiedziała spokojnie i cofnęła swoją rękę, którą Jałoń z przesadną galanterią podnosił do ust.

– Zawsze wierzyłem, że jesteś rozsądną dziewczyną – sięgnął po filiżankę z kawą.

– Zapasy mojego „rozsądku” są w stosunku do ciebie na wyczerpaniu.

– Byłem pewny, że spisuję się bez zarzutu. I dotychczas sądziłem, że w pełni to doceniasz.

Do końca podróży więcej ze sobą już nie rozmawiali.

Na lotnisku w Warszawie Perlik rzeczywiście oczekiwał Jałonia, jednak zanim uściskał przyjaciela, obserwował z niedowierzaniem stojącą przy nim kobietę.



– No, tak, tak! To Sylwia! – odpowiedział Jałoń na milczące pytanie Perlika. – Umów się prędko, bo tam na pewno czekają już na nią wszystkie jej ciocie.

– Ogromnie się cieszę... – Perlik był wyraźnie wzruszony, z trudem dobierał słowa. – Tyle lat... Ty już jesteś niemal starszek, ale ona... – wcisnął Sylwii do ręki swój bilet wizytowy.

Obiecała zatelefonować do niego w ciągu najbliższych dni i odeszła do oczekującej ją rodziny. Fontanny łez i nawałnica pocałunków stały się centralnym akcentem lotniskowej scenarii.

Perlik przeprowadził Jałonia pomiędzy grupkami witających się i załadował jego walizki do stojącej przed budynkiem lotniska szarej Warszawy.

– Twój? – spytał Jałoń, wskazując na samochód.

– Tak. Stary, ale dobry gracik.

Po paru minutach zbliżali się do Mokotowa.

Z alei Niepodległości skręcili w wąską uliczkę. Zatrzymali się przed małą, jednopiętrową willą, otoczoną niewielkim ogródkiem.

– Fiuuu! – Jałoń świsnął z przesadnym podziwem – widzę, że twórcy kultury są w wielkiej estymie u władz!

– Ten domek dostałem po Kłobudzkich. Zmarli przed pięciu laty.

Perlik wziął jedną z walizek Jałonia i pchnął żelazną furtkę.

– Chodźmy!

– Kłobudzcy? Zaraz... zaraz... Ach tak, to ten zacny, burżuazyjny odłam twojej rodziny. Przyjemnie się urządziłeś – Jałoń rozglądał się po obszernym hallu ozdobionym nowoczesną metaloplastyką. – A ja już byłem pewny, że ten dach nad głową to materialny wyraz wdzięczności społeczeństwa dla wybitnego pisarza.

– Nie gadaj głupstw. Z pisania wcale nie jest łatwo żyć.

– No, no, nie przesadzaj. Nie widać, żebyś żył najskromniej, a i sława pisarza też chyba się liczy. Nawet we Francji udało mi się zdobyć kilka twoich książek.

– Których? – żywo zareagował Perlik. – Proszę cię na górę, do gabinetu – wskazał schody wiodące na piętro. – A więc, które książki czytałeś?



– Autor, zawsze autor! – roześmiał się Jałoń. – Ale w pełni cię rozumiem. Gdy mowa o moich filmach, staje się natychmiast nieznośnym egocentrykiem. No, no, nie obrażaj się zaraz... Ciebie o egocentryzm nie posadzam, mimo że byłby on w pełni uzasadniony.

Perlik wprowadził przyjaciela do gabinetu i wskazawszy mu fotel podszedł do stojącego pod ścianą barku.

– Źle mnie zrozumiałeś – podał Jałoniowi napełniony kieliszek. – Interesuje mnie po prostu, które z moich książek są dostępne obecnie we Francji. Ostatecznie starałem się w nich, bardziej lub mniej udolnie, zawrzeć obraz naszej polskiej rzeczywistości...

– Boże, jakiś ty serio! Twoje zdrowie! I za dalsze dziesiątki twoich dzieł.

Perlik w milczeniu spełnił toast i sięgnął powtórnie po butelkę z koniakiem.

– Powitanie typowo polskie! Czuję, że na drugi dzień po przyjeździe do ojczyzny obudzę się z kacem. No, ale skoro nalané...

Jałoń uniósł kryształowy kieliszek i przyjrzał mu się z uwagą.

– W naszej młodości korzystaliśmy z nieco innych, prymitywniejszych naczyń... Zawartość też była inna... Chociaż, moim zdaniem, jak pić, to tylko czystą. Oczywiście de gustibus...

– Jak wolisz – Perlik postawił na stoliku butelkę czystej eksportowej.

– Pas! – zaprotestował Jałoń. – Wolę ci zdać sprawę z lektury twoich książek. Przeczytałem dwie: „Czerwony feniks” i „Ci z Białej” – przyjrzał się uważnie twarzy Perlika – ale nie martw się, że tylko tyle. Postanowiłem podczas pobytu w Polsce zapoznać się z twoją twórczością od A do Z. Tym bardziej, że obie te książki bardzo mnie zainteresowały. Bardzo.

– Myślę, że w Polsce czeka cię wiele atrakcyjniejszych zajęć – uśmiechnął się Perlik.

– No... jeśli nie zdążę przeczytać wszystkiego, to wezmę książki ze sobą do Paryża i potem listownie zdam ci sumienną relację z moich wrażeń. Dobrze?



– Jestem pewny, że będziesz żałował straconego czasu.
– Nie bądź taki skromny. Już jutro sięgnę po pierwszy utwór mojego przyjaciela z lat młodości – Gustawa Perlika, O ile się nie mylę, to twym debiutem były „Złamane drzewa”. Może mógłbyś od razu dać mi tę książkę?
– Oczywiście, chętnie, ale – zawahał się – tak się złożyło, że miałem ostatnio tylko jeden egzemplarz i właśnie przedwczoraj wypożyczyłem go znajomym. Jutro postaram ci się o drugi.
Spojrzał na zegarek.
– Chyba jesteś solidnie zmęczony, zatrzymasz się oczywiście u mnie. Chodź, pokażę ci twój pokój.
– Nie chciałbym ciebie krępować... Szczerze mówiąc myślałem o hotelu...
– Nie ma mowy!
– A więc krakowskim targiem. Pomieszkać u ciebie kilka dni, a potem przeprowadzę się do hotelu. Nie gniewaj się, ale tak będzie na pewno wygodniej. Również i dla mnie...
– No, skoro wolisz... – niechętnie zgodził się Perlik. – Z całą pewnością czułbyś się u mnie zupełnie swobodnie. Mieszkać właściwie sam. Czasami zjawia się na kilka dni moja siostrzenica, gosposia jest tylko przez kilka godzin w ciągu dnia. To wszyscy. W każdym razie czuj się tu jak u siebie, a przede wszystkim wypocznij chociaż trochę, bo na wieczór proponuję spotkanie z przeszłością.
– Cóż to za kryptonim?
– Po prostu zawiadomiłem o twoim przyjeździe paru naszych wspólnych przyjaciół sprzed wojny i zaprosiłem ich na dzisiaj. Nie masz chyba nic przeciwko temu?
– Świetny pomysł. Ale teraz marzę o kąpieli.
W tej chwili usłyszeli warkot samochodu, zatrzymującego się przed willą. Perlik wyjrzał przez okno i mruknął:
– Proszę, jak się pospieszyła... – po czym odwrócił się do Jałonia: – przyjechała właśnie moja siostrzenica, o której ci już wspominałem. Teresa Keler.
Jałoń zbliżył się do okna i ujrzał młodą, przystojną kobietę, wysiadającą z taksówki. Porozumiewawczo mrugnął do Perlika:



– Czy blisko jest z tobą spokrewniona? To bardzo miłe jest mieć tak przystojną siostrzenicę...
– Ty jak zawsze myślisz o głupstwach, a to jest autentyczna córka Mirki Różyckiej. Nie uśmiechaj się szatańsko, bo wiesz doskonale, że Mirka była moją bliską kuzynką. Przypomnij sobie, jak pomagałem ci w nawiązaniu z nią flirtu. Wprawdzie bezskutecznie, ale to już twoja wina.
Zeszli do hallu.
– Jak się masz smarkula – witał wchodzącą Perlik. – Zdecydowałaś się przyjechać do starego?
– Och wujku, proszę już przestać kokietować otoczenie tą starością. Odkąd pamiętam, uważa się wujek za zgrzybialca.
– Nic szacunku dla starszych! Boże, co to za młodzież! A w mankiet wujka! W mankiet! Zapominasz już zupełnie, jak cię matka wychowywała.
Teresa nie zwracała już uwagi na dobrze jej znane formułki powitania i pytająco spojrzała na Jałonia.
– Poznajcie się. To mój przyjaciel. Niezawodna marka: przedwojenny. Paryżanin, a do tego – uważaj tylko – reżyser filmowy. No i! tak zupełnie prywatnie – były absztyfikant twojej mamusi.
– Jak to miło już pierwszego dnia pobytu w Polsce spotkać tak uroczą dziewczynę – Jałoń szarmancko witał Teresę, przyglądając się jej z nietajonym zainteresowaniem.
– Świetnie zrobiłaś, że przyjechałaś już dzisiaj – mówił Perlik wprowadzając ich do pokoju – wieczorem przyjdzie tu parę osób, będziesz więc gospodynią, kucharką, pokojówką i wybawisz starego – och, pardon – z ogromnego kłopotu.
– Niestety, nic z tego. Robert ma dziś wolny wieczór i przede wszystkim dlatego przyjechałam.
– Ależ to się świetnie składa! Zaprosisz go także! Chyba nie zostawisz mnie i moich przyjaciół na pastwę losu, bez opieki.
– Ja sobie w ogóle nie wyobrażam dzisiejszego wieczoru bez pani – wtrącił Jałoń.
– Janusz, daj Teresie spokój, bo otrzymasz czarną polewkę, co byłoby zresztą dość typowym przykładem twego pecha do kobiet mojego rodu. Ona poza tym Robertem nie widzi



świata, a przy tym jest jedyną osobą, która wierzy, iż jest on co najmniej polskim Olivierem.

Teresa obrzuciła Perlika niechętnym spojrzeniem i powiedziała wyniośle:

– Oczywiście, przy pisarskim geniuszu wujka każdy inny talent wydaje się niewart wspomnienia. A ja właściwie na złość wujkowi wcale bym dzisiaj nie została, gdyby nie nowo zawarta znajomość – kokieteryjnie uśmiechnęła się da Jałonia.

– Doskonale. Najważniejsze, że zgadzasz się mi pomóc.

W kilka godzin później Teresa witała wraz z Perlikiem pierwszych gości. Jakby nagrane na płytę powtarzały się powitania i Jałoniem. „Janusz! Kopę lat!” „Świetnie wyglądasz!” „Ty także niewiele się zmieniłeś!” „Widocznie Paryż ci służy!”.

Ostatnią partię gości stanowił Robert, aktor Wężecki oraz jego przyjaciel – mecenas Góral. Spośród zebranych Robert znał jedynie Wężeckiego, który dyskretnym szeptem przedstawił mu gości Perlika.

– Ten łysawy, rozmawia z Perlikiem, to Zylbert. Szyszka – dyrektor dużych zakładów przemysłowych. O, podchodzi do nich Borecki, inżynier. To nierozłączna para z Zylbertem. Tamto małżeństwo to Sosiccy. Oboje są lekarzami. Jego znam bardzo mało. Właściwie dopiero od czasu, gdy Irena przedstawiła go jako swego męża. Zaraz, kiedy to było... Tak, chyba w sześćdziesiątym roku.

– A ta ślicznotka?

– Ślicznotka? Ach, Firlejówna... To dziennikarka. Tak, to była rzeczywiście bardzo piękna dziewczyna.

W tej chwili w przytłumiany gwar rozmów wdarł się donośny głos Perlika.

– To dla nas, mężczyzn, jest doprawdy szokujące, Bożenko, że ty z roku na rok jesteś coraz młodsza i coraz piękniejsza. Jak ty to robisz?

Bożena Firlej podniosła się z fotela i z miną modelki, pewnej sukcesu, zrobiła kilka tanecznych kroków, zatrzymując się dłużej przed Januszem Jałoniern. Płynnie wróciła do opuszczonego przed chwilą fotela, ujęła ładną, wypielęgno-



waną ręką kieliszek i wpatrując się w jego zawartość, powiedziała:

– Recepta, mój drogi Guciu, jest bardzo prosta. Miewam kochanków.

Ogólny wybuch wesołości zagłuszył poważny głos Bożeny.

– Ale... kochanków młodych – obrzuciła wyzywającym wzrokiem Jałonia i zwracając się do Perlika dodała – tobie Gustawie radzę robić to samo. Samopoczucie będziesz miał świetne i zadbasz o swój brzusek, nie dając mu się za bardzo rozrastać.

– Recepta znakomita. Ale jeśli zechcę ją realizować, będę liczył tylko ta ciebie, na twoje długoletnie doświadczenie i umiejętność motania sobie ludzi wokół małego palca.

– Tę umiejętność nabywa się, niestety, dopiero z latami. Przykład? Przecież się porządnie namęczyłam, by zatrzymać przy sobie tego obieżyświata Jałonia.

– Jak marny okazję naocznie się przekonać – bezskutecznie – wtrącił Jałoni.

– To bagatelizowanie nic ci nie pomoże, Januszku. Trułam się gazem przez ciebie i jeszcze na łożu śmierci będą cię z tego powodu gryzły wyrzuty sumienia. Zresztą obiecywałam sobie sprawić ci to łóżko bardzo prędko. Niestety, wojna pokrzyżowała te nabożne plany. Ale co się odwlecze, to nie uciecze. Uważaj.

– Będę się miał na bacności. Twoje zdrowie, Bożenko!

– Bardzo cię proszę – śmiał się Perlik – żebyś nie załatwiała swoich porachunków z Januszem w tak definitywny sposób w moim mieszkaniu... Mimo że byłyby to świetny temat dla twojej gazety...

– Nie żartuj, Guciu, bo nie znasz kobiet. Kobieta jest – oczywiście, zależnie od okoliczności – aniołem dobra lub demonem zła – mówiąc to Bożena Firlej stuknęła swoim kieliszkiem o kieliszek Jałonia i wypila trunek, przypieczętowując toast serdecznym uściskiem.

Teresa krążyła wśród gości nalewając wódkę, podawała kanapki i napoje, ale robiąc to wszystko, ani na chwilę nie spuszczała wzroku z Roberta. Obawiała się, czy będzie czuł się dobrze w tym gronie osób bliżej mu nieznanym, a przy



tym znacznie od niego starszych. Jednak Robert zachowywał się swobodnie, a od kilku minut zajęty był ożywioną rozmową z Jałoniem, która zakończyła się wypiciem kolejnego kieliszka wódki.

Około jedenastej całe towarzystwa było jut porządnie wstawione. Jałoń siedział samotnie w głębokim fotelu, obserwując czubki swoich butów.

– No, jak ci się to wszystko podoba? – zabrzmiał mu nad głową głos Perlika. – Nie za dużo wrażeń jak na jeden dzień?

– Czuję się świetnie. Niezwykle udany wieczór. Jestem ci bardzo wdzięczny, że tak ładnie to zorganizowałaś. To moje spotkanie i najbliższymi przyjaciółmi sprzed wojny... Słuchaj Gustaw, czy tego Roberta od Teresy znasz dobrze? Co to za facet?

– Aktor. Miły. Przystojny jak widzisz, przyzwoity. Nie wiem o co ci konkretnie chodzi.

– Czy można na nim polegać? No, czy jest solidny?

– No... chyba tak... Dlaczego o to pytasz?

– Właściwie mogę ci powiedzieć. Żadna nadzwyczajna sprawa, tylko... – zniżył głos do szeptu.

– A fe! Sekrety w towarzystwie! Do czego ta podobne! – przed nimi stała doktor Sosicka i groziła palcem. – Nie pozwalam!

– Już się stało, Irenko! Za późno interweniowałaś i zdążyłem naplotkować na ciebie...

– Gustaw! To prawda? – Sosicka udawała przerażenie, – Ja tego nie przeżyję!

– Czekaj... – Perlik i roztargnieniem sięgnął po szklanę z wodą. – Robert ci to na pewno załatwi. Ale pamiętaj, ja o tym nic nie wiem.

– Oczywiście, mistrzu. Mistrzowi nie wypada zajmować się tak prozaicznymi sprawami – w głosie Jałonia wyczuwało się nieukrywaną ironię. – Chodź, Irenko. Czuję, że masz wielką ochotę zatańczyć ze mną.

– Z takim uroczym chłoptasiem jak ty – zawsze. Tylko nie przytulaj mnie za bardzo, bo mąż patrzy.

– Zazdrosny?

– Trochę...



II.

Jałoń z rozmachem otworzył drzwi od gabinetu Perlika i wymachiwał trzymaną w ręku książką.

– Mam „Złamane drzewa”!

– Skąd je wytrzasnałeś?! Przecież nakład jest dawno wyczerpany, a nowy jeszcze w drukarni. – Perlik niedowierzająco wyciągnął rękę po trzymaną przez Jałonia książkę.

– I ty pytasz o takie rzeczy? Czyż w tym kraju jest coś nieosiągalnego dla rodaka z zagranicy? Ja zresztą nie krytykuję. To bardzo mile i wygodne. Nie omieszkam poinformować o tym naszych współziomków we Francji... Szczególnie tych, którzy się będą wybierać do naszego kochanego kraju płaczących wierz i uczynnych taksówkarzy... Ale, co ci jest? – przyjrzał się bliżej twarzy Perlika. – Źle się czujesz?

– Nic, nic... Zaraz przejdzie. Serce mam nie w porządku i po wczorajszym picu...

– Czekaj, co tu zrobić?... Usiądź tu, w tym fotelu, przyniosę ci coś do wypicia. Pamiętasz nasze stare hasło: klin klinem. Gdzie masz te twoje alkoholowe zapasy? – poszedł do barku,

– Zostaw. Po pierwsze wszystko zostało wypite...

– Nie szkodzi, zaraz przyniosę. Wprawdzie będąc dzisiaj na mieście dowiedziałem się o pięknym zwyczaju niesprzedawania alkoholu w sobotę, ale przecież rodak z zagranicy wszystko dostanie...

– Siadaj i nie pleć trzy po trzy. Nie mam żadnego kaca, tylko mi serce nawala i zamiast klina, chyba zadzwonię do Sosickiej. To dobra lekarka.

– Jak uważasz. Mogę i ja do niej zatelefonować,

– Na razie nie trzeba. Już mi trochę lepiej.

Jałoń przysunął sobie fotel, otworzył przyniesioną książkę i podsunął ją Perlikowi.

– Skoro ci lepiej, to wracajmy do przykrych obowiązków. Bo przecież nawet wieszczowie je mają. Nie należy o tym zapominać.

– Nie rozumiem...

– Mistrzu, błagam o autograf na wieczną rzeczy pamiątkę – Jałoń powiedział to z patosem podrzędnego aktora, trzymając dłoń na sercu. – Nie odmawiaj, mistrzu!



– Czy ty zawsze musisz błaznować – roześmiał cię Perlik.
– Tylko autograf na twoim pierwszym dziele może mnie z tego uleczyć.

Perlik wziął podaną mu książkę. Chwilę trzymał pióro w powietrzu, potem skreślił krótką dedykację.

– Dziękuję z całego serca. Nie rozstanę się z tą książką do śmierci... Ach, prawda! Miałem być uleczony z błazeństwa... Wybacz, to już ostatni raz.

– Dobrze, dobrze – Perlik uśmiechnął się słabo. – Jak zaplanowałaś swój pobyt w kraju?

– Przede wszystkim – sprawa mieszkania.

– To chyba już omówiliśmy?

– Tak, i zgodnie z naszą umową od dziś mieszkam w „Bristolu”. Udało mi się dostać pokój. Rozumiesz – dla rodaka z zagranicy... U ciebie czuję się świetnie, ale sądzę, że tak będzie mimo wszystko wygodniej. I właśnie wobec zmiany adresu muszę się skontaktować z Robertem Szyrgiem.

– To już ułatwi ci Teresa. Zajdź do jej pokoju, Zdaje się, że już wróciła z miasta.

– Świetnie! No więc na razie żegnam. Zadzwoń do tej Sosickiej, bo wyglądasz bardzo nietęgo. Jak się zadamowię, w hotelu to zatelefonuję do ciebie.

Pożegnali się uściskiem ręki i Perlik opadł i powrotem na fotel. Oddychał głośno i z trudem. Był bardzo zmęczony po wczorajszym przyjęciu. Goście wyszli dopiero o pierwszej w nocy, z nim odprowadził Jałonia do jego pokoju, sprawdził drzwi i pogasił światła, była już niemal trzecia. Mimo to długo nie mógł usnąć, przewracał się z boku na bok i wsłuchiwał w przyspieszone bicie swego serca. Rano czuł się fatalnie i z trudem zmusił się, aby po śniadaniu jak zwykle zasiaść do pracy.

Gdy Jałoń opuścił willę, Perlik, po chwili odpoczynku, zszedł na dół i zapukał do pokoju Teresy.

– Dobrze, że widzę wujka. Spieszę się bardzo, a właśnie chciałam uprzedzić, że wrócę, dziś bardzo późno – uśmiechnęła się z lekkim zażenowaniem. – Może dopiero rano...

– Będziesz u Roberta? – obojętnie zapytał Perlik.

– Wujku! Cóż za pytanie? Dobrze, że Robert nie słyszy! Oczywiście, że z nim, u niego, o nim, przez niego i w ogóle tyl-



ko on. No widzisz, staruszkę, a tak się narzeka na brak romantyzmu u współczesnej młodzieży! – odwróciła się w stronę lustra i zaczęła przyczesywać swoje puszyste, jasne włosy. – A to nieprawda. Najlepszy dowód...

Ostatnich słów Perlik już nie słyszał. Cicho wycofał się do gabinetu. Po chwili usłyszał trzask zamykanych drzwi wyjściowych. Był znowu sam. Siedział chwilę bez ruchu z przymkniętymi oczyma, potem sięgnął do stojącego na biurku telefonu.

– Z doktor Sosicką proszę – drżącą ręką zapalił papierosa. – Dzień dobry, Irenko. Mam wielką prośbę do ciebie. Strasznie marnie się czuję i gdybyś była tak dobra i wpadła do mnie... Tak, serce... To świetnie, że możesz. Czeka.

Panująca w domu ciszę pięciokrotnie przerywał dzwonek telefonu. Wszystkie rozmowy były niemal identyczne. Zarówno Bożena Firlej, Węzecki, Zylbert, Borecki jak i Sylwia Norckstein (ciągle w myślach nazywał ją Gacką) chcieli mówić z Jałoniem, a następnie pytali, gdzie zamieszkał. Perlik nie widział powodów, aby ukrywać przed przyjaciółmi jego adres, ale potem powrócił myślami do wczorajszego wieczoru, do strzępów zasłyszanych rozmów i odczuł lekki niepokój...

W dwie godziny później doktor Sosicka wsłuchiwała się w rytm jego serca.

– Rzeczywiście nie jest najlepiej. Podejrzewam, że to wczorajsza wódka tak ci zaszkodziła. A ostatnio wydawało mi się, że na długo straciłam pacjenta. Wszystko powróciło do normy, a dziś...

Dobrze, że Teresa przyjechała. Gdybyś się w nocy źle poczuł, niech mi natychmiast da znać.

– Gdzieżbym cię w nocy niepokoi! Zresztą Teresa będzie dziś u Roberta. Nie chciałem jej zawracać głowy swoją osobą. Tak dawno się nie widzieli...

– Mogłbyś być mniej subtelny... No cóż, zadzwonię do szpitala. Może siostra Drozdowska będzie wolna. To ta sama, która była u ciebie przed rokiem. Pamiętasz? Nie narzekałeś na nią.

– Tak, pamiętam, przyjemna. Ale czy sądzisz, że to konieczne?



– Jeśli o tym mówię, to znaczy, że uważam to za konieczne. – Sosicka powiedziała to ostro i zaczęła nakręcać numer szpitala. Perlik tymczasem włożył kurtkę od piżamy i z westchnieniem ulgi wyciągnął się na tapczanie.

– No widzisz – po krótkiej rozmowie telefonicznej zwróciła się do niego Sosicka. – Wszystko świetnie się składa. Drozdowska ma wolną noc. Będzie tu o siódmej. Lekarstwa przysłę przez nią. Teraz się prześpij, ja zmykam. Jutra zadzwonię.

Wrzuciła stetoskop do torby, poprawiła mu koldrę, musnęła ręką po jego czole i szybko opuściła pokój.

– Dziękuję, Irenko! – zdążył jeszcze za nią zawołać.

Spojrzał na zegarek. Była szósta. Sięgnął po leżącą przy tapczanie książkę i zaczął czytać. Tykaniu zegara towarzyszył szelest przerzucanych kartek. Potem przekreślił gałkę radia. Z głośnika dobiegł głos spikera: „... sąd wojewódzki w trybie doraźnym. Główny oskarżony Jerzy Gałek został skazany na karę śmierci. Pozostali bandyci...” Perlik szybko wyłączył radio. O szyby zaczęły miarowo uderzać ciężkie krople jesienno-deszczu. Czekał.

Kwadrans po siódmej siostra Drozdowska siedziała już w pobliżu jego tapczanu, mieszając cukier w świeżo zaparzonej herbacie. Czekala ją jeszcze jedna nieprzespana noc.

*

Myśl o wieczornym spotkaniu z Andrzejem już od rana wprawiała Sylwię Norkstein w stan przyjemnego podniecenia. Chwilami zapominała nawet o Jałoni, o ich spotkaniu w samolocie w drodze z Paryża do Warszawy.

Miała już za sobą szczegółowe relacjonowanie swym trzech ciotkom przebiegu jej długoletniego pobytu we Francji. Okazały się nawet na tyle delikatne, że nie domagały się bliższych informacji na temat jej małżeństwa. Z żywo okazywanym podziwem przyjmowały wszystkie realia dotyczące życia paryskiej finansjery. Ich siostrzenica należy przecież do tych górnych „dziesięciu tysięcy”! Potrafiła zdobyć sobie męża, pozycję, zapewne dobrobyt. Ba, dobrobyt – miliony!



Miliony! – Sylwia jakby czytała w myślach starych pań. Miliony to znaczy mąż – stary Norkstein – apodyktyczny, despotą dla podwładnych, groźny dla współników i uległy tylko wobec niej. Jak długo to jeszcze potrwa? Odruchowo spogląda w lusterko. Dotyka palcami skroni; przesuwając dłonie w stronę oczu i policzków, jakby starała się sprawdzić czy w ciągu ostatnich godzin nie przybyło jej nowych zmarszczek. Jak długo Andrzej wytrzyma taką sytuację? Jak długo będzie czekał? Wie, że ona musi czekać. Czekać na śmierć człowieka, którego nazywa swym mężem... I do tego wieczna obawa przed skandalem i jego konsekwencjami. Widzi w myślach krzyczące tytuły brukowych gazet paryskich, artykuły, w których przewijają się tłustą czcionką dwa nazwiska: Sylwia Norkstein – żona paryskiego finansisty i Andrzej Kolecki – młody polski naukowiec.

Znowu przypomina sobie o Jałoni. Jest przecież tu, w Warszawie, niemal na wyciągnięcie ręki.

W uszy wwierca się natrętnie, wielokrotnie powtarzane jakieś pytanie ciotki. – Przepraszam, ciociu, zamyśliłam się. – Merde, co ja tutaj właściwie robię w tym domu... No tak, przecież musiała mieć dodatkowy pretekst, aby wyjechać do Polski. Andrzej czeka tu na nią. Od miesiąca nie widziała go, ale teraz trzy tygodnie razem... Nie, już nie trzy. Drugi dzień pobytu w Warszawie upływa, a jeszcze nie zamieniła z nim ani słowa. Przyszedł wprawdzie na lotnisko, ale zgodnie z umową nie podszedł nawet do niej. Po co ciotki mają się czegoś domyślać. Jutro przeprowadzi się z tego domu do hotelu...

O pół do szóstej jest umówiona z Andrzejem w kawiarni w „Bristolu”... Miesiąc temu, w Paryżu, nie mogli przecież przewidzieć z Andrzejem, że Jałoni zatrzyma się w tym właśnie hotelu,

– Wyjdę już ciociu. Spóźnię się jeszcze na spotkanie z koleżanką.

W kawiarni już od drzwi dostrzega czarną czupryną Andrzeja. Jak zwykle czyta. Gdyby mógł, nie odrywałby się chyba od tych swoich książek. Drażni ją, że Andrzej czeka na nią z takim spokojem. Wie, że przyjdzie. Na pewno... Przez chwi-



lę ma ochotę zawrócić. I wtedy właśnie Andrzej podnosi na nią oczy. Kochane, wielkie, niebieskie oczy...

Przez dłuższą chwilę milczą.

– Cieszę się, że cię znów widzę – głos Andrzeja jest, jak zwykle, cichy, spokojny.

– Mhm – głaszcze jego dłoń, z trudem powstrzymując się, aby nie dotknąć czarnej czupryny.

– Widziałem cię w niezwykle interesującym towarzystwie na lotnisku.

– Tak. Jaloń leciał ze mną jednym samolotem – przerywa nagle i po chwili: – Mieszka tutaj – w „Bristolu”.

Znowu milczenie. Andrzej patrzy niespokojnie w jej oczy.

– Mówiłaś, że chętnie obejrzałabyś któreś z warszawskich przedstawień. Moglibyśmy dzisiaj pójść do Narodowego. To nie-daleko. Dają „Ryszarda III” z Holoubkiem. Warto go zobaczyć... Rozmawiałaś z Jaloń? Czy wie, że też jestem w Warszawie?

– Sądzę, że jeszcze nie wie. Chodźmy już do tego teatru. I ani słowa więcej o Jaloń.

– Jest jeszcze dosyć wcześnie.

– To nic. Pójdziemy na spacer. Do Ogrodu Saskiego. Boże, jak to brzmi romantycznie!

Andrzej dostrzega, że Sylwia jest z każdą chwilą coraz bardziej zdenerwowana. Zdaje się nie słyszeć tego, co do niej mówi. Odpowiada monosylabami.

Kasy teatru. Spacer. Znowu powrót do teatru, Sylwia poprawia włosy, makijaż.

– Szkoda, że nie załatwiłaś sobie hotelu już od dziś.

Sylwia na chwilę ożywia się.

– Po prostu nie wypadało. Te dwa dni należą się mojej rodzinie. Jutro – szepce, ściskając jego dłoń.

Antrakt. Palarnia zasnuta kłębamii dymu.

– Nie będę paliła. – Andrzej wyczuwa lekkie drżenie jej ręki. – Nie gniewaj się, ale nie wysiedzę do końca przedstawienia. Fatalnie się czuję. Marzę o tym, żeby położyć się do łóżka. Chodźmy stąd!

Na placu Teatralnym owionął ich zimny wiatr.

– Chyba mam gorączkę. – Sylwia wciska się w oparcie siedzenia taksówki i wtula twarz w podniesiony kołnierz pla-



szcza. – Przepraszam, że tak zmarnowałam wieczór. Do jutra postaram się wykurować.

– Może to grypa?

– Ee, nie. Po prostu nadmiar wrażeń, nerwy. Nie wysiadaj ze mną. Wróć do domu tą samą taksówką.

Sylwia zatrzymuje się w bramie. Patrzy na oddalającą się taksówkę i powoli wychodzi na ulicę. Mija Kolumnę Zygmunta, kościół św. Anny, pomnik Mickiewicza. Neony Hotelu „Bristol” stają się coraz wyraźniejsze...

Robert Szyrg wprawnymi ruchami ścierał z twarzy charakterystyczną. Po drugim akcie sztuki był już wolny. Za dwadzieścia dziewięć. Szybko włożył „cywilne” ubranie, zapiał płaszcz i wyszedł z teatru. Na najbliższym postoju wsiadł do taksówki.

– Hotel „Bristol” – rzucił kierowcy.

O dziewiętej wchodził na wysłane chodnikiem schody.

– Cieszę się, że pana widzę – zamykając od wewnątrz drzwi na klucz, powitał go Jaloń. – Niech pan siada.

Wyjął z walizki niewielki pakunek i rozwinął go. Rozłożył na stolika paczki z dolarowymi banknotami.

– Proszę przeliczyć. Nie chciałbym, aby były jakieś nieporozumienia.

– Nie będzie żadnych nieporozumień – Robert starał się zachować spokój. – Mam nadzieję, że pan nie zwierzał się nikomu z naszych spraw.

– Oczywiście, że nie! – roześmiał się Jaloń.

Robert poślinił palec i zaczął powoli liczyć banknoty, z trudem opanowując drżenie palców.

– Napije się pan? – Jaloń odwrócił się i sięgnął po butelkę. – To pomaga w liczeniu.

– Chętnie... – Robert spojrział na pochyloną nad małym stolikiem z kieliszkami sylwetką Jalońa...

W niecałe dziesięć minut później Szyrg opuszczał hotel „Bristol”. Spoza podniesionego kołnierza płaszcza i osuniętego głęboka na czoło kapelusza jego twarz była prawie niewidoczna. Na postoju przed kościołem Wizytek dostrzegł wolną taksówkę. Rozejrzawszy się bacznie wokoło zatrzasnął za sobą drzwiczki samochodu. Dojechali do alei



Jerozolimskich i skręcili w stronę mostu Poniatowskiego. Po chwili zamajaczyła w dole ciemna wstęga Wisły. Z Ronda Waszyngtona skręcili w prawo i wkrótce taksówka zatrzymała się.

Robert spojrzął na dobrze znaną bramę, oświetloną niewielką żarówką i zagłębił się w jej ciemnym wnętrzu. Przeskakując po trzy stopnie wbiegł na pierwsze piętro.

„Katarzyna Nierycka” przeczytał odruchowo wizytówkę na drzwiach. Nacisnął dzwonek. Otworzyła mu młoda kobieta. Czarne włosy spływały w misternym nieładzie na jej ramiona, okryta lekkim, przezroczystym szlafrocikiem.

– Jesteś nareszcie. Myślałam, że już nie przyjdiesz. Rozbierz się – mówiła niskim, ciepłym głosem; dostrzegła jego wahanie i szybko dodała: – Nie bój się, przecież się nie zjem...

Zdjął płaszcz i wszedł za nią do pokoju. Owionął go znany zapach perfum.

– Po cóż dzwigasz tę teczkę. Zostaw ją w przedpokoju.

– Chyba ci nie przeszkadza? – położył teczkę na krześle.

– No chodź już, siadaj – wskazała mu miejsce obok siebie na tapczanie...

*

Wychodząc z mieszkania Katarzyny Robert spojrzął na zegarek. Zaklął cicho. Było piętnaście po dziesiątej. Na postoju nie było żadnej taksówki. Czekał prawie dziesięć minut zanim dostrzegł nadjeżdżającą „Warszawę” i licznikiem nastawionym na „wolny”.

Gdy wysiadał na Odyńca spojrzął w okna na trzecim piętrze. Były oświetlone. Teresa czekała na niego.

– Dlaczego tak późno? – pytała już przy drzwiach, – Zaczęłam się niepokoić, że miałeś jakiś wypadek.

Nie odpowiadając przygarnął ją do siebie i długo całował w usta, oczy, włosy...

– Przepraszam cię, małeńka. Musiałem zostać w teatrze do końca przedstawienia. Reżyser postanowił zmienić pewien drobniaczek w mojej roli i uważał za stosowne zakomunikować mi o tym koniecznie dziś. – Uśmiechnął się. – No, ale najważniejsze chyba, że twój chłopak jest już przy tobie.



– Pewnie jesteś głodny? Chodź, przygotowałam coś do jedzenia.

– A wiesz na co mam największą ochotę? – znowu przygarnął ją da siebie i pochylając się do jej ucha szepnął. – Na ciebie.

– Proponuję ci coś o wiele lepszego i pożywniejszego.

III

Kazimiera Tylecha ze zdziwieniem dostrzegła na wieszaku w holu nieznane jej damskie palto. Od czterech lat prowadziła gospodarstwo Perlika i żaden szczegół nigdy nie uchodził jej uwadze. Jeszcze bardziej ją zdziwiły odgłosy krzątania w kuchni. Uchyliła drzwi.

– A, to siostra Drozdowska! Cóż to, pan Perlik znowu się rozchorował? – z niepokojem zapytała pielęgniarkę. – Przecież ostatnio był już całkiem zdrowy.

– Wczoraj trochę się źle czuł. Dziś już chyba jest lepiej. Śpi teraz. A ja, niech no pani pomyśli, zdrzemnęłam się nad ranem i zasnęłam. Dostanę rугę w szpitalu, chyba że mnie pani doktor Sosicka wybroni. No, lecę już. Do widzenia!

– Na pewno wybroni! – zawołała za nią gosposia i zabrała się do zwykłych codziennych porządków.

Koło ósmej wezwał ją Perlik.

– Nie wstanę dzisiaj. Bardzo źle się czuję... – oddychał ciężko. – Jak przyjdzie Tereska, to niech do rana zajrzy. Ale jakby dzwoniła doktor Sosicka, to proszę powiedzieć, że czuję się zupełnie dobrze i niech się dzisiaj nie fatyguje. Kropelki mogą łykać i bez niej.

– Dobrze, dobrze. Zaraz zrobię panu herbatki – zamknęła cicho drzwi i poczłapała do kuchni.

O dziewiątej rozległ się dzwonek przy drzwiach.

– Pan do kogo? – zdziwiła się na widok mężczyzny w mundurze oficera milicji i stojącego przed domem samochodu MO.

– Czy zastałem pana Perlika?

– Jest, ale chory, leży. Miał wczoraj atak serca. Całą noc była przy nim pielęgniarka... Jeśli to nic pilnego, ta może kiedy indziej...



– Niech mu pani powie, że to bardzo ważna sprawa. Nie zajmę mu dużo czasu czasu.

– Proszę zaczekać. Zapytam.

Oficer rozglądał się po holu, gdy w drzwiach wejściowych stanęła Teresa.

– Cóż to za nalot? Może wujka okradli? — wyciągnęła rękę do oficera. – Moje nazwisko Keler. Jestem siostrzenicą pana Perlika.

– Karwań – uściśnięła dłoń Teresy. – Ja właśnie na krótką rozmowę do pani wujka... Ta pani – wskazał na powracającą – poinformowała mnie, że jest chory...

– Proszę, niech pan wejdzie – Tylecha wskazała drzwi sypialni. – Dzień dobry, panno Teresko. Pochorował nam się wujek. Ja to zawsze mówię, że zdrowie to największy skarb dla człowieka.

Karwań zapukał w uchylone drzwi i wszedł do środka.

– Słucham. O co chodzi? – cicho zapytał Perlík lekko unosząc się z poduszki. – Proszę, niech pan siada.

– Wiem, że jest pan chory i bardzo pana przepraszam za zakłócenie spokoju, ale muszę zasięgnąć u pana kilku informacji. Na temat pańskiego przyjaciela Janusza Jałonia.

– Informacji? Jest w Polsce dopiero od dwu dni i już się nim interesuje milicja? Czy zdążył popełnić jakieś przestępstwo? – uśmiechnął się lekko.

– Interesują nas wszystkie kontakty, jakie Jałóń miał w Polsce. O ile się orientujemy nie przyjechał załatwić tu żadnych interesów. Chciał po prostu zobaczyć Polskę, spotkać się z przyjaciółmi...

– Niech pan mówi wyraźniej, panie poruczniku. Dlaczego używa pan czasu przeszłego. Czyżby Jałóń nagle wyjechał?

– Nie chciałem pana denerwować, ale w ten sposób do niczego nie dojdziemy... Jałóń nie żyje.

– Nie żyje?! – Perlík uniósł się gwałtownie, potem opadł z powrotem na poduszki i przymknął oczy.

– Może podać pana jakieś krople? – na szerokiej, jasnej twarzy Karwania malowała się szczerza troska.

Perlík wskazał oczami stojącą na stoliku butelkę. Skrzywił się wypijając podane lekarstwo. Po chwili spytał zmienionym, chropawym głosem:



– Jak to się stało? Niech pan mówi!

– Jałóń został zamordowany w swoim pokoju hotelowym. Wczoraj między 21 a 22 godziną.

– Wiecie już kto?

Karwań uważnie spojrział na chorego.

– Jeszcze nie – powiedział powoli, akcentując słowo „jeszcze”. – Prowadzą śledztwo w tej sprawie. Wydawało mi się, że pan będzie mógł mi pomóc.

– Proszę pytać.

– Z kim Jałóń skontaktował się w kraju? Czy miał tu jakichś wrogów?

– Był w Polsce zaledwie dwa dni, ale trudno mi stwierdzić, co robił godzina po godzinie. Kontakty... Znajomości... Już pierwszego dnia jego pobytu zaprosiłem naszych wspólnych przyjaciół sprzed wojny. Sądzę, że to byli jedyni znajomi Jałonia, z którymi zdążył się widzieć. W przeciwnym razie chyba bym o tym wiedział. Zresztą może się mylę... Pyta pan o wrogów? To był porządny człowiek... Takim go zachowałem w pamięci... Zresztą jakież mogą być obecnie powody, aby zabijać człowieka?...

– Czy Jałóń przywiózł do Polski jakąś większą ilość pieniędzy?

Perlík zawahał się.

– Niech pan mówi otwarcie. Nawet, jeżeli Jałóń chciał okpić nasze władze skarbowe, to już mu teraz to nie zaszkodzi, a nam taka wiadomość może pomóc.

– Wiem, że miał! dolary, które chciał sprzedać. Ale nie wiem ile, ani też czy znalazł na nie kupca.

– Czy mógłby mi pan podać nazwiska tych przyjaciół, których zaprosił pan na spotkanie z Jałoniem?

– Nie sądzę, by moi przyjaciele byli mi za to wdzięczni, ale przecież i tek byście ich odnaleźli, nieprawdaż?...

– Zapewniam pana, że tak. Nie powinien pan mieć żadnych tego rodzaju obiekcji... No i chodzi przecież o śmierć pańskiego przyjaciela...

– A więc... redaktor Bożena Firlej, doktor Sosicka, dyrektor Zylbert, inżynier Borecki, Bolesław Wężecki, aktor...

– Czy tylko oni byli obecni?



– Ach, nie. Była jeszcze moja siostrzenica z narzeczonym, Robertem Szyrgiem...

– Szyrg?

– Tak. Aktor. Sosicka przyszła z mężem, a Borecki z żoną. Poza tym Borecki przyprowadził naszego wspólnego przyjaciela, mecenasa Górala.

– Gdzie mieszka pan Szyrg? ~ porucznik zdawał się nie słuchać ostatnich słów Perlika.

– Gdzieś w pobliżu. Na Mokotowie. Ale dokładny adres będzie mogła podać panu moja siostrzenica.

– Dziękuję panu. Obawiam się, że będę zmuszony jeszcze pa-na w przyszłości niepokoić. Na razie życzę powrotu do zdrowia.

– Dziękuję i powodzenia.

Teresa siedziała w swoim pokoju zastanawiając się nad niespodziewaną wizytą milicji, gdy rozległo się pukanie i w progu stanął Karwań.

– Okazuje się, że również do mnie ma pan jakąś sprawę... Czym mogę służyć?

– Przede wszystkim chodzi mi o adres pani narzeczonego...

– Mojego narzeczonego? Ależ...

– Prośba wydaje się pani nieco... dziwna, Ale po prostu zaoszczędzi mi pani nieco czasu spełniając ją.

– Robert mieszka na Odyńca – Teresa nieufnym spojrzeniem mierzyła Karwania. – Bywam tam wprawdzie często, ale numeru domu nie pamiętam. Chyba jest jakoś zakonspirowany, skoro go do tej pory nie dostrzegłam.

– Dziś rano wracała pani od pana Szyrga?

– Dlaczego pan o to pyta? To są moje osobiste sprawy i nie powinny pana interesować.

– Zapewniam panią, że to nie jest wtrącanie się do pani osobistych spraw. Zresztą obiecuję zupełną dyskrecją ~ uśmiechnął się pojednawczo.

– Nie mam nic do ukrywania. Zawsze robię to, co sama uważam za właściwe...

– Bardzo słusznie. A więc... tę noc spędziła pani...

– U Szyrga – jeśli panu tak na tej wiadomości zależy.

– Mieszka sam?



– Tak.

– O której godzinie przyszła pani do niego wczoraj?

– O wpół do dziesiątej.

– Czekał na panią?

Teresa podeszła do lustra, wzięła szczotkę do włosów i kilkakrotnie szybko przeciągnęła nią po głowie.

– Może zechce pan łaskawie poinformować mnie wreszcie o co panu chodzi – wybuchnęła niespodziewanie.

– Niepotrzebnie się pani denerwuje. O co mi chodzi? O stwierdzenie, co robił pani narzeczony wczoraj wieczorem. Oczywiście nie mam zamiaru wnikać w intymne szczegóły – a zdaje mi się, że posądza mnie pani o to. A więc – czy Szyrg był u siebie, gdy pani tam przyszła?

– Nie. Przyszedł za piętnaście jedenasta.

– A miał być wcześniej. Tak? O której?

– Po dziewiątej. Zatrzymali go w teatrze.

– Dziękuję. Może zechce mi pani pokazać dom, w którym mieszka pani narzeczony. Zastaniemy go teraz?

– Chyba tak. Ale niech mi pan wreszcie powie, po co to wszystko?

– Prowadzę śledztwo w sprawie zabójstwa Janusza Jałonia.

*

Karwań kilkakrotnie naciskał dzwonek przy drzwiach zanim usłyszał; szuranie męskich pantofli.

– Pan do mnie? – Szyrg lekko uchylił drzwi.

– Jeżeli pańskie nazwisko jest Szyrg, to rzeczywiście do pana – nie czekając na zaproszenie Karwań popchnął drzwi i wszedł do małego przedpokoju.

Szyrg starał się jedną ręką przytrzymać poły szlafroka, drugą zaś bezskutecznie przyglądał zmierzwiłone włosy.

– Przepraszam, że jestem w takim stanie, ale niedziela to dla mnie jedyna okazja, żeby trochę pospać i wypocząć...

– Tym bardziej, że noc była męcząca – strzelił Karwań i natychmiast zdał sobie sprawę z niestosowności tej uwagi.

– Co pan ma na myśli? – Szyrg przyglądał mu się badawczo.



– Drobiazg, drobiazg – wycofywał się porucznik. – Może zechce pan zaprosić mnie do pokoju. Chciałbym z panem zamienić kilka słów.

– Ależ oczywiście, przepraszam... Proszę tylko nie zwracać uwagi na bałagan – wprowadził Karwania do pokoju. – Niech pan siada – wskazał fotel, a sam się usadowił na niezasłanym tapczanie.

– Chodzi o pańskiego znajomego, Janusza Jałonia... – porucznik zawiesił głos patrząc na Szyrga. Po twarzy jego przebiegł skurcz, który nie uszedł uwagi oficera. Karwań spojrzał na ręce

Szyrga. Trzymał je dotąd na kolanach, jakby pragnąc opłonić ich drżenie. Teraz zaczął nerwowo splatać palce. – Kiedy widział go pan po raz ostatni?

– Po raz pierwszy i ostatni widziałem go na przyjęciu u pana Perlika. Nie wiem czy pan go...

– Znam, znam... – porucznik wyjął papierosy i wyciągnął je w kierunku Szyrga. – Wprawdzie na czczo te niezbyt zdrowo, ale może pan zapali?

Porucznik zaciągnął się kilkakrotnie i z miną obojętną, patrząc z uśmiechem na Szyrga, zaczął powoli mówić:

– Jest mi doprawdy niewymownie przykro. Najpierw budzę pana i przerywam zasłużony odpoczynek...

– Ależ to doprawdy nic nie szkodzi... – przerwał Szyrg.

– Wiem, wiem, że pan jest bardzo uprzejmy i niezwykle cenię tę cechę. Ale mam jeszcze jeden powód do zmartwienia.. I to pan właśnie mi tego powodu dostarcza...

– Nie rozumiem...

– Pan. Albowiem prócz uprzejmości cenię u ludzi jeszcze między innymi prawdomówność, a pan... – tu Karwań podniósł głos wymawiając wyrazy szybko, ale dobitnie – pan kłamie, kłamie i jeszcze raz kłamie. Wbrew oczywistym faktom. O której wrócił pan wczoraj do domu?

– Za dwadzieścia dziesiąta.

– Tak? Pani Keler czekała na pana od wpół do dziesiątej, a przyszedł pan o godzinie dziesiątej czterdzieści pięć. Z Jałoniem widział się pan wczoraj wieczorem w jego pokoju o godzinie 21. I mam nadzieję, że pan wyjaśni, co spowodowało, że już na początku naszej rozmowy starał się pan ukryć



prawdę. A więc ustalamy zgodnie, że wczoraj wieczorem był pan u Jałonia. Tak, czy nie?

– A więc dobrze. Byłem u Jałonia. Czy ten fakt ma coś wspólnego z pańską wizytą u mnie?

– Proszę mi powiedzieć dokładnie co pan robił wczorajsze-go wieczora. Tylko bez fantazjowania. Chodzi mi głównie o pana pobyt w hotelu „Bristol”.

– Przyszedłem do Jałonia o godzinie 21. Nie zamierzałem o tym początkowo panu mówić, ponieważ moja wizyta u niego miała charakter najzupełniej prywatny. Byłem u Jałonia no, nie patrzyłem na zegarek, ale chyba około 20 do 30 minut. Potem wróciłem do domu...

– Taksówką?

Szyrg zaciągnął się papierosem i przeciągle spojrzał na porucznika.

– Nie – odpowiedział powoli. – Miałem ochotę trochę się przejść. Do trolejbusu 56 wsiadłem dopiero przy ulicy Marchlewskiego...

– ... i w ten sposób wypełnił pan lukę, która powstałaby między pańskim wyjściem z „Bristolu” a przyjazdem na Odyńca. Jak długo nie widział się pan z panią Teresą Keler?

– Widziałem się z nią na przyjęciu u jej wuja, czyli przed-wczoraj.

– Chodzi mi o okres poprzedni, przed jej przyjazdem do Warszawy.

– Dwa tygodnie.

– Jest pan bardzo wstrzemięźliwy. Nie spieszył się pan do domu, gdzie czekała na pana pani Keler...

Szyrg w milczeniu bawił się pudełkiem od zapalek.

– Czy pana nie dziwi – podjął po chwili napiętego milczenia porucznik – że w naszej rozmowie można dostrzec pewien charakterystyczny rys. Otóż nie zainteresował się pan do-tychczas, w jakim celu wałkuję z panem przebieg wczorajsze-go wieczoru. Dzieje się tak chyba tylko dlatego, iż obaj wiemy doskonale o co chodzi.

– Zupełnie nie rozumiem do czego pan zmierza – na po-liczkach Szyrga wykwitł ciemny rumieniec. Żyły na jego szyi nabrzmiały.



Porucznik podniósł się i zaczął powoli i systematycznie oglądać pokój. Potem odchylił materac na tapczanie; zajrzał do jego wnętrza; wyjął kilka książek z biblioteki, przerzucił w nich kartki; wolno sprawdzał zawartość półek z bielizną... Szyrg w milczeniu wodził za nim oczyma. Kiedy Karwań podszedł do małej szafki stojącej w kącie pokoju i otworzywszy drzwiczki wyjął z niej wypchaną teczkę – ze zduszonym okrzykiem zerwał się z krzesła:

– Jakim prawem?!...

W ręku Karwania błysnął pistolet.

– Tylko bez głupich kawałów! Siadać! Ręce na stół – otworzył teczkę i wytrząsał na stół jej zawartość. – Skąd pan ma te dolary?

– Dostałem je od Jałonia.

– Za co?

– Dostałem je na przechowanie.

– Jeszcze jedno kłamstwo! – Karwań szybko ujął ręce Szyrga i po chwili zabłyśły na nich stalowe kajdanki. – Arsztuje pana pod zarzutem zamordowania Janusza Jałonia i zrabowania mu jego pieniędzy!

– Ja... ja tego nie zrobiłem! Dał mi te dolary, bo chciał, żebym je sprzedał... On przecież nie miał w Polsce żadnych znajomości...

– A więc już nie do przechowania, lecz do sprzedania. Mamy czas i sądzę, że w innych sprawach takie waleni pan zdanie.

IV.

Karwań kończył w pośpiechu śniadanie, obserwowany bacznie przez pięcioletnią córeczkę.

– Spieszysz się i śpieszysz i dlatego ciągle zapominasz – odezwała się po chwili.

– Zapominam? O czym?

– O misiu.

Karwań roześmiał się. – Masz rację. Ale dziś już na pewno nie zapomnę. Wieczorem miś będzie już jadł i tobą kolację.

Wybiegł i domu i wskoczył do ruszającego w przystania tramwaju.

Koło budynku Komendy dostrzegł znajomą sylwetkę,



– Halo, kapitanie! – zawołał – Jak się miewa wasz ischias?
– Wycofał się na z góry upatrzone pozycje. A ciebie jaszczce bozia pokarze za żartowanie z dolegliwości przełożonych.

– To nie żarty. Po prostu mówię: kapitan Gorzyk – a w domyśle ischias.

– Dobra, dobra.

– Czy będę mógł wpaść do ciebie na chwilę?

– W sprawie Jałonia? Przyjdź o dziewiątej. Mam teraz trochę drobiazgów do załatwienia – klepnął Karwania w plecy. – Jak się zjawisz, to nie omieszkam pośmiać się z twojej nieudolnej i partackiej roboty.

– Trudno, liczę się z tym. Cześć – pożegnał kapitana skrecając do swego pokoju.

O dziewiątej zameldował się u Gorzyka. Usiedli przy biurka i Karwań rozłożył na nim plik papierów.

– No więc jak sprawa wygląda, niedołego?

Karwań zbył pytanie milczeniem. Wyjął papierosy i stając na baczność zapytał:

– Pozwolicie zapalić, obywatelu kapitanie?

– Streszczaj się, bo muszę jeszcze coś przygotować dla staro.

– Dotychczasowe przesłuchania nie wniosły w zasadzie nic nowego – rozpoczął Karwań. – Szyrg podtrzymuje swoje pierwotne zeznania, twierdząc, że nie był jeszcze zdecydowany do kogo się zwróci, aby sprzedać dolary Jałonia.

– Wziął dolary nie wiedząc co z nimi zrobi?

– Pośpiech tłumaczy obawą, że Jałoń mógłby zrezygnować z jego usług, a on chciał coś zarobić. To początkujący aktor i jego zarobki rzeczywiście nie są największe. Poza tym sprawdziłem, że sporo kosztowało go spółdzielcze mieszkanie, które niedawno dostał.

– No, a jak tłumaczysz jego długą podróż z „Bristolu” na Odyńca?

– Na razie nie wiem. Licząc na odrobinę szczęścia poleciałem szukać taksówkarzy, którzy w sobotę między godziną 21 a 23 mieli kursy z okolic „Bristolu” lub na Odyńca, bo nie wierzę zupełnie w ten spacer Szyrga aż do Marchlewskiego.



– Musisz znaleźć jakieś punkty zaczepienia. Od Szyrga na pewno niczego więcej się nie dowiesz. Sfrajerowałeś, bracie, że nie nacisnąłeś go mocniej od razu u niego w mieszkaniu. Sytuacja była taka, że facet na pewno czuł się marnie... A zanim doszło do przesłuchania w Komen-dzie, zdążył się otrząsnąć i zastanowić. No, trudno... Co w „Bristolu”?

– Przesłuchałem recepcjonistę, portierów i telefonistkę. Tego dnia był duży ruch w hotelu – przyjechała wycieczka z Wiednia i wszyscy byli nią zajęci. Nikt nie zauważył ani Jałonia, ani jego gości. Tylko telefonistka pamiętała, że kilkakrotnie łączyła z pokojem Jałonia...

– Czy to był jeden rozmówca?

– Panie kapitanie, po kolei – Karwań uśmiechnął się i mówił dalej. – To nie był jeden rozmówca. Telefonistka stwierdziła, że były to różne głosy. Również kobiece. Oczywiście nie przywiązywała do tych rozmów żadnej wagi i dlatego nie pamięta dokładnych godzin ani ilości rozmów. W każdym razie było ich, jak twierdzi, około dziesięciu...

– Kto to mógł dzwonić?

– O tym za chwilę. Jak się domyślasz, mój pobyt w hotelu nie ograniczył się do tych przesłuchań...

– Właśnie. Ślady, odciski palców?

– Tylko Jałonia. Klamka wytarta. Kieliszek od wódki również.

– Jałoń był pijany?

– Otrzymałem właśnie wyniki badań i chciałem o nich mówić, ale nie dopuszczasz mnie do głosu...

– Och, bardzo przepraszam – uśmiechnął się Gorzyk. – Nie powiem już ani słowa. Słucham.

– Badania wykazały, że we krwi Jałonia zawartość alkoholu wynosiła 0,7 promille...

– Tyle co nic – mruknął Gorzyk. – Niecała, setka wódki...

– Tak. A więc nie był pijany. Czy potrafisz wyciągnąć z tego jakieś wnioski?

– Wnioski ty wyciągaj.

– No tak. Więc było to dla mnie bardzo ważne stwierdzenie, bo przecież znaleźliśmy Jałonia leżącego w ubraniu na



łóżku, przykrytego kołdrą i odwróconego do ściany. Człowiek, który za dużo wypił i poszedł spać... A teraz jest już pewne, że w momencie wizyty zabójcy Jałoń nie był pijany. A więc... na łóżku ułożył go w ten sposób morderca...

– No... Dalej... – Gorzyk był trochę zniecierpliwiony.

– Dalej – przyczyna śmierci. Otóż Jałoń nie zmarł, jak nam się początkowo wydawało, na skutek dwóch ran kłutych w plecy...

– Ooo!

– Właśnie. Stwierdzono na jego głowie guz od ciosu, który go prawdopodobnie ogłuszył, a zgon nastąpił w wyniku uduszenia. Na szyi Jałonia są tego wyraźne ślady... O ich identyfikacji niestety nie ma mowy.

– A jak wyglądały osobiste rzeczy Jałonia?

– Miał trzy walizki; dwie duże i neseser. Rozpakowany tylko neseser...

– U Szyrga. znalazłeś dwa tysiące dolarów. To przecież kupa papieru. W jaki sposób udało mu się ominąć celników?

– Nie wiem. Chyba po prostu dużo tupetu i szczęścia...

– Powiedz no mi, dlaczego uczepiłeś się właśnie Szyrga? Mam na myśli pierwsze twoje kroki właśnie do niego?

– Oto kalendarzyk Jałonia. Zanotowana tu jest wizyta tego młodego człowieka na godzinę 21.

– Ale widzę tu również inne nazwiska...

– Tak. Sosicka, Wężecki, Zylbert, Borecki... Ale spotkania z nimi są zaplanowane na inne dni.

– Co masz zamiar robić dalej?

Porucznik Karwań udał, że nie zauważył ironii, która zabrzmiała wyraźnie w głosie jego zwierzchnika. Pogodnie ciągnął swoje rozważania:

– Porozmawiam z wymienionymi w kalendarzyku osobami. To znajomi Jałonia jeszcze sprzed wojny. Spotkali się u Perluka w związku z przyjazdem...

Zaterkotał telefon. Gorzyk po krótkiej rozmowie odłożył słuchawkę.

– Chce się z tobą widzieć pani Teresa Keler. Poleciałem wydać jej przepustkę. Na razie cześć!

Karwań opuścił gabinet kapitana w nienajlepszym nastroju. Gdy usłyszał stuk damskich obcasów i obejrzał się



ujrzał Teresą Keler, zmierzającą w kierunku jego pokoju, powitał ją nieco kwaśnym uśmiechem.

– Pani do mnie? Dzień dobry. Proszę – otworzył drzwi swego pokoju. – O, rozpadało się na dobre – pomagał zdejmować jej płaszcz. – Nie znoszę deszczowej pogody. Proszę, niech pani siada.

– Aresztował pan mojego narzeczonego – Teresa Keler z wysiłkiem panowała nad głosem. – Co on ma wspólnego z zabójstwem Jałonia? – nerwowo skręcała w dłoniach rękawiczki.

– Może chwilowo zamienimy się rolami. Najpierw pani wyjaśni mi pewne sprawy, a potem ja pani. Dobrze?

– Dobrze.

Powiedziała to tonem małej, skarconej dziewczynki.

– Jak długo zna pani Szyrga?

– Mniej więcej od roku...

– Wśród jakich ludzi obraca się pani narzeczonego?

– Przede wszystkim wśród aktorów. Ma kilka przyjaciół z czasów szkolnych, ale właściwie znam ich jedynie z opowiadań...

– Jak przedstawiały się zarobki pani narzeczonego?

– Raczej skromnie... Na razie... Ale może mi pan odpowie wreszcie na moje pierwsze pytanie? Dlaczego pan go aresztował?

– Robert Szyrg podejrzany jest o zamordowanie Janusza Jałonia i zrabowanie mu 2 tysięcy dolarów.

Kelerówna zaniemówiła. Szeroko otwartymi oczami patrzyła na Karwanię. Wreszcie wykrztusiła zdławionym głosem:

– To... to potworne... To niemożliwe,.. Robert...

– Przyznał się, proszę pani.

– To kłamstwo!

– Niech się pani uspokoi. Przyznał się jedynie, że otrzymał od Jałonia dolary do sprzedania. Trudno nam jednak w to uwierzyć, gdyż nie może wskazać osób, którym miał te dolary sprzedać...

Mam nadzieję, że pani zrozumie... Przy tym w pierwszych swoich zeznaniach narzeczonego pani kłamała...



– Na przykład? – Teresa była już na pozór opanowana.

– Na przykład mówiąc, że wracał bardzo długo do domu, gdyż część drogi odbywał piechotą.

– Ach tak... Co więcej?

– Niech to na razie pani wystarczy. Otóż, gdybyśmy znaleźli jego współników – chodzi o współników od handlu dolarami – to sytuacja jego uległaby pewnej poprawie, chociaż podejrzenie o zabójstwo nie zostałoby automatycznie anulowane. Szyrg wymyślając bajeczkę o tym, że nie miał jeszcze kupca na dolary działa na swoją niekorzyść. Sądzę, że gdyby pani zastanowiła się nad sytuacją to doszłaby pani do tego samego wniosku i, być może, mogłaby pani pomóc zarówno narzeczonemu jak i nam...

Kelerówna w milczeniu patrzyła na Karwanię.

– Nie wiem, nie wiem... – wyszeptała po chwili. – Znałam go chyba dobrze i sądzę, że wiedziałabym o takich sprawach... Och Boże, Boże... – ujęła głowę w obie ręce, a plecami jej wstrząsnął bolesny szloch. – To niemożliwe, żeby on to zrobił! Przecież bym poznała. Czy pan sądzi, że można się tak maskować, aby w pół godziny po dokonaniu morderstwa spotkać się z kobietą, która go kocha i że ona niczego się nie domyśli?

– Pan Szyrg jest aktorem.

– Och, to zupełnie co innego – powiedziała ze zniecierpliwieniem. Wytarła chusteczką oczy i twarz. – On tego nie zrobił! Jestem tego pewna, choćby wszystko i wszyscy świadczili przeciwko niemu.

– Na razie jest właśnie tak, jak pani mówi.

– To się zmieni. Do widzenia!

Wzięła z biurka przepustkę i szybko wyszła z pokoju. W pół godziny później wchodziła do willi Perlika i nie rozbiegając się udała się wprost do gabinetu pisarza. Perlik na jej widok wstał z fotela.

– No o co z Robertem?

– Niedobrze, och wujku, niedobrze – w krótkich, rwących się zdaniach opowiedziała przebieg rozmowy z Karwanią.

– Co robić, wujku, co robić – była znowu na pograniczu płaczu.

Perlik gładził w milczeniu jej dłoń.



– To rzeczywiście wygląda bardzo poważnie – powiedział wreszcie powoli. – Bo jeśli to rzeczywiście Robert...

– Wujku!...

– Niestety wszystko za tym przemawia...

– Nie, nie... Nigdy w to nie uwierzę. W te dolary tak, ale dlaczego nie chce wskazać ludzi, którym miał je sprzedać? Przecież oni trudnią się tym zawodowo, a on jeszcze nigdy...

– Jesteś tego pewna?

– Niezupełnie... Ale powinien powiedzieć...

Nerwowo chodziła po gabinecie.

– Wiem, że ci to przyjdzie ciężko, ale uważam, że powinnaś się dostosować do mojej rady. Masz teraz pilną pracę w Krakowie. Jeżeli ją zawalisz, to może się to ujemnie odbić na twojej pozycji na Uniwersytecie. Tutaj Robertowi nic nie pomożesz. A sprawa może się przeciagać. Posłuchaj ranie. Gdy zajdzie potrzeba wezmę Robertowi dobrego adwokata. Nie patrz na mnie w taki sposób. Przecież to oczywiste, że adwokat będzie potrzebny, bo nie ominie Roberta rozprawa o te dolary... O wszystkim będę cię informował listownie, a gdy tylko go wypuszczą – bo przecież z powodu dolarów nie będą go trzymać – natychmiast do ciebie zadepeszuje. Ty tymczasem zakończysz swoją pracę w Krakowie i przyjedziesz do Warszawy już na stałe. Ale teraz wyjeżdżaj, Koniecznie!

Teresa zatrzymała się tuż przy Perliku.

– Nie wyjadę, wujku. Nie ma o czym dyskutować! Nie będę siedziała beczynn timer podczas gdy Robertowi wmawiają takie koszmarnie historie.

Perlik otworzył książkę, dając do zrozumienia, że wobec takiego stanowiska uważa temat za wyczerpany.

– Jak uważasz. Przecież wiesz, że bardzo lubię kiedy u mnie mieszkasz.

– Ale wujek musi mi pomóc!

– Ja? W jaki sposób?

– To proste. O przyjeździe Jałonia wiedzieli jedynie jego przyjaciele, powiadomieni o tym przez wujka. Więc tylko ktoś z nich mógł...

– Czy ty udajesz sobie sprawę z tego, jakie głupstwa wygadujesz?! – Perlik aż się uniósł w fotelu. – Chcesz powie-



dzieć, że... że to uczynił ktoś z naszych przyjaciół, których znaliśmy z Januszem od prawie trzydziestu lat? Jak możesz z taką łatwością rzucać tego rodzaju oskarżenia?

– Nie ja sformułowałam to oskarżenie. Uczynił to wujek, a więc chyba nie jest ono tak bezpodstawne.

Perlik sięgnął po stojący na stole syfon z wodą sodową.

– Czy wujek obserwował tych wszystkich „przyjaciół” podczas piątkowego przyjęcia? Ja miałam do tego doskonałą okazję... Chwilami nie sprawiali wrażenia ludzi zadowolonych z prób powracania do wspomnień. A Jałoń w tym celował...

– Dostyc. Jeśli nadal będziesz wałkowała ten temat nie będę w ogóle z tobą rozmawiał. Rozumiem, że możesz być zdenerwowana, ale...

– Wujek nie chce mi pomóc? Przecież chodzi o Roberta!

– Więc co? Chcesz, abym oskarżył o morderstwo jedną z tych osób?

– Firlejówna wspominała, że postanowiła Jałonia zabić...

– Dziecino, idź się połóż i prześpij, bo za chwilę wyprowadzisz mnie z równowagi. Czy ty naprawdę nie masz za grosz zdrowego rozsądku?

– Ja tylko głośno myślę... A Borecki, który natychmiast storpedował próbę powrotu w rozmowie do lat przedwojennych?... Tak samo Zylbert... A jak było z innymi? Przecież różne słowa i półsłówka, które dla nich były zupełnie przejrzyste, mogły ujść mojej uwadze...

– Ta rozmowa jest ponad moje siły. Wybacz... Gdybym miał choć cień podejrzenia, natychmiast bym o tym powiedział. Już nie tylko przez wzgląd na Roberta, bo jeśli on jest niewinny, to włos mu z głowy nie spadnie – wierzę w to głęboko – ale przez wzgląd na pamięć biednego Janusza...

Perlik spuścił głowę i milczał chwilę. Po czym podjął:

– Zresztą możesz po prostu zwrócić się ze swymi sugestiami do tego oficera milicji, który prowadzi śledztwo.

– Chciałabym, aby to zrobił wujek – cicho powiedziała Teresa. – Ja jestem za bardzo zainteresowana w przebiegu tej sprawy. Poza tym wujek zna przecież wszystkich tych ludzi, mógłby podać wiele szczegółów dotyczących ich przedwojennych kontaktów z Jałoniem...



Przez dłuższą chwilę w gabinecie panowało milczenie.
– Nie – powiedział wreszcie Perlik stanowczo – nie zrobię tego. Na wszelką pomoc innego rodzaju możesz zawsze liczyć, o tym nie muszę cię chyba jeszcze raz zapewniać.
– Rozumiem. Wujek przypuszcza, że to jednak Robert. To smutne. Dobrze, pójdę sama do tego oficera. I to zaraz. Może on potraktuje poważniej moje pomysły.

V.

Gdy drzwi gabinetu zamknęły się za Kelerówną, Karwań lekko wzruszył ramionami i z uśmiechem pobłażania zanotował krótko przebieg rozmowy. Po chwili zameldowano mu o przybyciu sierżanta Nowackiego.

– Co? Już? – powitał go Karwań i skrzywił się lekko, gdy sierżant swoją ogromną ręką uściśnął mu dłoń. – Siadajcie.

Karwań ujął długopis i czekał na raport. Miał zwyczaj notować dosłowne sformułowania opowiadającego, które będąc odbiciem podświadomych nieraz odczuć nasuwały nowe skojarzenia i wnioski.

– ... zgodnie z waszym poleceniem zaczęliśmy szukać wśród taksówkarzy. Nie znalazłem żadnego, który by w sobotę wieczorem między dziewiątą i jedenastą wieczór miał kurs z okolic „Bristolu” na Odyńca. Zresztą od razu to przewidywałem i dlatego postanowiłem podzielić trasę „Bristol” – Odyńca na dwa, a być może na trzy odcinki...

– Jak to?

– Najpierw odszukaliśmy taksówkarza, który spod Wizytek wiozł młodego faceta około wpół do dziesiątej. Na Saską Kępe. Nie myślałem, że ten Szyrg to taki frajer, ale na wszelki wypadek sprawdziłem dom, przed którym kazał zatrzymać taksówkę...

– Czy to na pewno był Szyrg?

– Obywatelu poruczniku, a po co bym wam to z przeproszeniem chrzanił, gdyby nie o niego chodziło?

– Dobra, mówcie dalej! – Karwań z uznaniem patrzył na grubego sierżanta.

– No i w jednym z mieszkań znają go. Był tam w sobotę o tej porze.

– Co to za ludzie?



– Nie tyle ludzie, ile kobieta. Młoda, brunetka.
– Chwileczkę – Karwań wyjął z szuflady niewielką fotografię i podsunął ją Nowackiemu. – Ta?
Sierżant spojrział na kartonik. Był zdziwiony.
– Ooo! To mi się podoba. Ta babka zresztą też. Ta sama, nie ma dwóch zdań. Szybko!
– Drobiazg – zbagatelizował sprawę porucznik, nie widząc widocznie potrzeby tłumaczenia sierżantowi, że fotografię znaleziono po prostu w kieszeni Szyrga. – Więc co za dziewczyna?
– Pozwoliłem sobie pofatygować ją tutaj do obywatelu porucznika. Bo prawdę mówiąc nie wiedziałem, czy obywatel porucznik będzie jej zaraz wszystko wyjaśniał...
– Bardzo dobrze!
– W każdym razie z wstępnej rozmowy wynika, że Szyrg był u niej do około piętnaście po dziesiątej. I tu rozpoczął się drugi odcinek trasy pana Szyrga...
– Łatwo żeście na to wpadli?
– Mój Boże! Jeden robi buty, inny buduje domy, a ja się zajmuję takimi sprawami. No więc z Saskiej Kępy Szyrg wyładował bezpośrednio na Odyńca około 23-ej. To wszystko.
– Bardzo wam dziękuję, szczególnie za to, że załatwiliście to tak szybko. Pracujemy ze sobą po raz pierwszy, ale mam nadzieję, że nie ostatni.
Nowacki pokraśniał z zadowolenia.
– Nie ma o czym mówić, przecież to było głupstwo!
Po chwili do pokoju Karwania weszła młoda brunetka. Łatwo dało się zauważyć jej zdenerwowanie, które starała się pokryć sztucznie swobodnym sposobem bycia. Świeżo przy-pudrowane policzki i równy rysunek warg były skutkiem zabiegów wykonanych przed chwilą na korytarzu.
– Nazwisko, imię, zawód? – szybko pytał Karwań.
– Katarzyna Nierycka, kosmetyczka.
– Od jak dawna ma pani Roberta Szyrga?
– Od trzech lat.
– Narzeczony?
– No... nie. Poznaliśmy się przypadkiem. Potem często by-waliśmy razem. W kinie. W lokalu. Pan rozumie...



- Kiedy widziała się pani z nim ostatnio?
- Przeszło pół roku temu.
- I po upływie pół roku zapragnęła pani nagle z nim się zobaczyć?
- O co panu chodzi? Co to ma za znaczenie, czy chciałam się widzieć z Robertem „nagle”?
- Proszę nie zadawać pytań. Mogę pani wyjaśnić, że uczucia pani zupełnie mnie nie interesują. Chodzi mi jedynie o ustalenie pewnych faktów. A więc?...
- Proszę pana, przecież to zupełnie zrozumiałe. Z Robertem skończyło się, gdy poznał tę swoją babkę. Zerwał ze mną i przestaliśmy się spotykać. Mimo że wtedy właśnie dostałam mieszkanie, a do tej pory on też nie miał...
- To rzeczywiście dziwne. Takie atuty... – Karwań uśmiechnął się mimo woli.
- I dopiero w sobotę zadzwoniłam do niego do teatru, żeby do mnie przyszedł. Bałam się, że mi odmówi, więc powiedziałam, że jestem chora, że nie ma mi kto nawet podać herbaty i że nie może być taką ostatnią świnią. I przyszedł.
- Co jeszcze mówił przez telefon?
- Że po przedstawieniu ma jeszcze coś do załatwienia, ale że to długo nie potrwa i że będzie o wpół do dziesiątej.
- I powiedział, że z tym Jałoniem to załatwi się bardzo prędko? – szybko zapytał Karwań.
- Kobieta podniosła na niego zdziwione oczy.
- Z jakim Jałoniem? Nie mówił mi, co ma załatwić.
- ... a pani nie zechciała przechować mu tych dolarów. Postąpiła pani bardzo słusznie. Przecież to i tak musiałoby się wydać, a wówczas i pani miałaby nieprzyjemności. A nad Szyrgiem nie potrzebuje się pani litować...
- Dlaczego nie potrzebuję litować się nad Robertem? Co się z nim stało?
- Niech pani będzie ze mną szczerą. Przecież pani nic nie grozi. A Szyrg? To przecież obecnie jest dla pani zupełnie obcy człowiek...
- Co się z nim stało? – głos Katarzyny Nieryckiej zabrzmiał niespodziewanie ostro. Ze zniecierpliwieniem, szorstko odsunęła papierosy, którymi ją Karwań częstował.



- Dobrze. Na razie umówmy się, że pani wierzę. Robert Szyrg jest aresztowany pod zarzutem zamordowania obywatela francuskiego Janusza Jałonia oraz przywłaszczenia sobie jego pieniędzy, ściśle – dolarów. Twierdzi, że miał je sprzedać, natomiast nie chce powiedzieć komu. Pani rozumie, że odpowiedzialność za szwindel dolarami jest niewspółmierna w stosunku do odpowiedzialności za morderstwo. Przypuszczam, że pani wie, co Szyrg miał zamiar zrobić z tymi pieniędzmi. Więc?...
- Niestety... Nie wiem...
- Jeszcze jeden niewypał – skwitował w duchu przesłuchanie Nieryckiej.
- W ciągu kilku najbliższych godzin przez pokój Karwania przesunął się korowód piątkowych gości Perlika. Pierwsza zgłosiła się wydzwoniona z redakcji Bożena Firlej.
- Kochanka Jałonia – pomyślał Karwań patrząc na jej drobne, wypielegnowane dłonie, na piękną jeszcze twarz, na której jednak wyraźnie znaczyły się, mimo starannego makijażu, oznaki przemijania. – Wybuch starych namiętności po ćwierćwieczu? – uśmiechnął się na tę myśl.
- Pyta mnie pan o moje kontakty z Jałoniem – mówiła Firlejówna spokojnym, równym głosem osoby przyzwyczajonej do publicznych wystąpień. – Jeśli ma to panu pomóc, chętnie opowiem wszystko, chociaż na dobrą sprawę nie ma tu zbyt wiele do opowiadania. Przez pewien czas, oczywiście jeszcze przed wojną, byłam blisko związana z Jałoniem. Sądziłam, że wyjdę za niego za mąż i roiłam młodzieńcze marzenia o wiecznym szczęściu z ukochanym mężczyzną. Na krótko przed wybuchem wojny Jałoni mnie porzucił... Nawet nie dla innej kobiety. Po prostu znudziłam mu się. Wydawało mi się to ogromną tragedią... Te możliwości wielkich wzruszeń i głębokich odczuć to jeden z przywilejów młodości, nieprawdaż? No więc trulałam się gazem, a potem... potem była wojna i o Jałoniu usłyszałam dopiero w zeszły czwartek, gdy Gustaw Perlik zapraszał mnie na spotkanie z Januszem. To wszystko.
- Czy pani bardzo nienawidziła Jałonia?
- Firlejówna zawahała się.
- Chyba tak. Ale to było bardzo dawno. Po tylu latach człowiek jest bardziej skłonny do pamiętania o rzeczach do-



brych i przyjemnych; łatwo zapomina o doznanych krzywdach. W mojej pamięci Jałóż pozostał jako czarujący młody człowiek. Na przyjęciu u Perlika spotkałam starzejącego się lowelasa, tyle, że o tym samym nazwisku.

– Marzyła pani o tym, aby się zemścić na Jałoniu. Chciała go pani zabić...

– Mój Boże, widzę że rzeczywiście ściany mają uszy... Ale to prawda. Był czas, kiedy chciałam go dostać w swoje ręce.

– Jest pani obecnie usatysfakcjonowana. Gratuluje.

– Niech pan będzie poważny – w głosie jej zabrzmiała nagana. – Pańskie stwierdzenie jest po prostu niesmaczne.

– Co pani robiła w sobotę wieczorem?

– Domyślałam się, że chodzi panu o to, co robiłam między godziną dziewiątą a dziesiątą?

– Podziwiam domyślność. A więc?

– Kładłam się do łóżka. W kieleckim hotelu. Z ramienia mojej gazety obsługiwałam naradę, która odbywała się w Kielcach w niedzielę. Wróciłam w niedzielę wieczorem.

– I sądzi pani, że Jałóż został zabity, gdyż...

– ... to chyba proste. Gdyż musiał komuś wypaplać, że ma przy sobie większą ilość gotówki. To widocznie wystarczyło.

– Czy Jałóż mówił pani o swoich pieniądzach?

– Nie.

– Więc skąd to przypuszczenie?

– Zastanawiałam się nad motywami tego morderstwa i tylko ten wydaje mi się prawdopodobny.

– Dziękuję pani.

Po wyjściu dziennikarki Karwań polecił nadać dalekopis do Komendy Milicji w Kielcach z prośbą o sprawdzenie zeznań Firlejówny na temat jej pobytu w tym mieście. Uczynił to jednak jedynie i poczucia obowiązku, nie wierząc w żadne niespodzianki.

Wkrótce potem zjawili się Sosiccy.

– Nie sądzę, abym mógł powiedzieć panu coś interesującego na temat Jałonia. Widziałem go jeden raz w życiu – Sosicki mówił powoli, z rozmysłem. – Może raczej moja żona, która znała go jeszcze w czasach studenckich...

– To chyba nie ma nic do rzeczy – przerwała Sosicka. – Znałam go dwadzieścia pięć lat temu, a zabito go teraz... Ja-



łóż studiował historię sztuki. O ile pamiętam nie przykładał zbyt dużej wagi do studiów, ale jak widać nie przeszkodziło mu to w zrobieniu kariery.

– O jakiej karierze pani mówi?

– No, jest przecież reżyserem filmowym.

– Kto pani o tym mówił?

– Perlik. A i Jałóż mówił trochę podczas piątkowego przyjęcia o swojej pracy.

– Jałóż rzeczywiście pracował w wytwórni filmowej, ale jako archiwista.

– A to blagier! – roześmiał się Sosicki. – Od początku nie miałem do niego zaufania.

– Och, przesadzasz – zaoponowała. – Jałóż zrobił na wszystkich jak najlepsze wrażenie.

– Czy zawsze sprawiał takie „dobre wrażenie”?

– Raczej tak. Zawsze był bardzo miły i koleżeński. Należał do naszej „paczki”. To znaczy urządzaliśmy razem wieczorki, wycieczki, jak to bywało przyjęte.

– Czy Jałóż wspominał komuś z państwa o posiadanej gotówce? Może robił na ten temat jakieś aluzje?

– Mnie w każdym razie nie. A mężowi chyba tym bardziej. Ale Jak zdążyłam się dowiedzieć miał pewną ilość dolarów...

– Kto pani mówił?

– Perlik wspominał mi o zatrzymaniu tego młodego człowieka, Szyrga. Martwił się, że to wielki cios dla jego siostrzenicy. Wprawdzie prosił mnie, abym nikomu na ten temat nic nie mówiła, ale sądzę, że nie dotyczy to pana – uśmiechnęła się do Karwania.

– Oczywiście. A co państwo robili w sobotę wieczorem?

– W sobotę byliśmy z żoną w kinie – szybko odpowiedział Sosicki. – Czterogodzinna kolubryna – „Przeminęło z wiatrem”. Wszyscy ulegamy panującej modzie, więc trzeba było ten film obejrzeć...

– Byli państwo sami? – przerwał Karwań.

– Tak. Dostaliśmy bilety zupełnie przypadkowo od inżyniera Boreckiego, który miał jakąś ważną pracę do wykonania.

– Czy miała pani zamiar utrzymywać jakieś kontakty z Jałoniem? – zwrócił się porucznik do Sosickiej, podchwytyjąc zdziwione spojrzenie jej męża.



– Towarzyskich zamiarów nie miałam – na jej twarzy odbiło się lekkie zmieszanie – ale w sobotę zadzwoniłam do niego do hotelu prosząc o spotkanie. Mamy duże trudności z niektórymi lekarstwami i chciałam go prosić, aby po powrocie do Francji postarał się dla mnie o pewne specyfiki.

Po wyjściu Sosickich w pokoju Karwania pozostała delikatna woń eteru i medykamentów. Szybko uchylił okno.

– Wyobrażam sobie, jakie szpitalne zapachy panują w mieszkaniu tego lekarskiego małżeństwa...

Sekretarka zameldowała przybycie inżyniera Boreckiego.

– Mam nadzieję, że nie zatrzyma mnie pan długo. Mam bardzo pilną robotę w biurze i każda chwila jest dla mnie niezwykle cenna – zaczął już od progu. – A w sprawie zabójstwa Jałonia nie mogę panu niczego powiedzieć...

– Czy ucieszył się pan widząc swego przyjaciela po tylu latach? – przerwał Karwań.

Po twarzy Boreckiego przebiegł ledwie dostrzegalny cień, natychmiast jednak uśmiechnął się.

– O tak, to była przyjemna niespodzianka...

– ... i przyjęcie u Gustawa Perlika też chyba było udane. Wspomnienia wspólnych przeżyć, które nagle ożyły – ciągnął Karwań z zainteresowaniem obserwując drobne kropelki potu, występujące na czole Boreckiego. – Czy panu jest duszno?

– Nie, nie. Po prostu nie czuję się ostatnio najlepiej – otarł czoło chusteczką.

– A co pana w tych wspomnieniach Jałonia najbardziej zaniepokoiło? – głos Karwania stał się ostry i nieprzyjemny.

– Doprawdy nie rozumiem, o co panu chodzi. Byliśmy z Jałoniem w młodości przyjaciółmi i nasze wspólne wspomnienia nie zawierały żadnych nieprzyjemnych akcentów.

– Swoją pracę zawodową rozpoczął pan jeszcze przed wojną?

– Nie, dyplom zrobiłem na wiosnę trzydziestego dziewiętego. Podczas okupacji żyło się psim śwędem, a po wyzwoleniu zacząłem pracować jako inżynier. Najpierw na Śląsku, a potem w Warszawie.

– W jakim celu chciał się pan zobaczyć jeszcze raz z Jałoniem?



– Ja chciałem się zobaczyć z Jałoniem? Oczywiście, że zamierzałem się z nim spotkać, ale na razie nie byłem jeszcze z nim umówiony.

– Naprawdę? Byłem przekonany, że umówił się pan z nim na najbliższy czwartek, godzina piąta po południu, kawiarnia „Bristol”.

– W czwartek, w czwartek... ach tak, rzeczywiście, Jałoń wspominał mi o tym terminie. Wyleciało mi to jakoś z głowy...

– Pan cierpi na zaburzenia pamięciowe? To smutne... Proszę mówić prawdę! W jakim celu umawiał się pan z Jałoniem? Zależało panu, aby nie zdradzał się z pewnymi sprawami, które tylko wam były wiadome! Jakże to były sprawy?

Borecki w milczeniu zagryzał wargi. Dłonie mocno splecione trzymał na kolanach. Był pełen napięcia a jednocześnie jakiejś wewnętrznej determinacji,

– Pan się myli. Nie łączyły mnie z Jałoniem żadne tajemnice. Po prostu chcieliśmy ze sobą porozmawiać. Czy to takie dziwne pomiędzy przyjaciółmi, którzy nie widzieli się przez tyle lat?

– Ma pan rację... A co robił pan w sobotę wieczorem?

– Początkowo miałem zamiar iść z żoną do kina, ale okazało się, że musi wyjechać z Warszawy, więc zaproponowałem bilety Sosickim, a sam zostałem w domu.

– Czy nikt pana nie odwiedzał? Może jakieś telefony?

Borecki przecząco pokręcił głową.

– Na razie dziękuję panu – zakończył przesłuchanie Karwań.

Po wyjściu Boreckiego porucznik uchylił drzwi do sekretariatu.

– Proszę o dostarczenie mi z referatu kadr zakładu, w którym pracuje inżynier Borecki, jego akt personalnych – Wydał polecenie sekretarce.

Na Wężeckiego czekał prawie godzinę, a wkrótce potem, gdy ten lekko szpakowaty, wysoki, szczupły mężczyzna z nieodłączną muszką pod szyją, usiadł za jego biurkiem, zameldowano mu o przybyciu jeszcze jednej osoby z grona przyjaciół Jałonia – dyrektora Zylberta.

– Pan miał się w najbliższy piątek spotkać z Januszem Jałoniem? – zagadnął aktora po szybkim sprawdzeniu jego personaliów. – Jaki cel miało mieć to spotkanie? Tylko proszę



bez zbędnych namysłów. Interesuje mnie wyłącznie prawda, A więc? – przynaglał widząc niezdecydowanie Wężeckiego.

– Widzi pan, to nie tylko mnie dotyczy... Jeszcze podczas przyjęcia u Perlika mój przyjaciel, mecenas Michał Góról, prosił mnie, abym postarał się dla niego o pożyczkę. W grę wchodził właściwie jedynie Gustaw Perlik, ale ponieważ kiedyś już mi odmówił zasłaniając się jakimiś kłopotami, więc woląłem nie zwracać się do niego powtórnie. Tym bardziej, że te pieniądze nie miały być dla mnie. No i wtedy Michał, to znaczy mecenas Góról, poprosił mnie, abym zwrócił się do Jałonia. Wydawało mi się to bardzo niezręczne...

– O jaką kwotę chodziło?

– O dwadzieścia tysięcy. Ale nie mogłem Michałowi odmówić. Mam wobec niego długi wdzięczności... Więc przedstawiłem tę sprawę Januszowi. Początkowo odmówił, był wtedy zresztą lekko podchmielony, ale potem powiedział, że bym do niego wpadł, to przy okazji porozmawiamy, czy nie da się czegoś zrobić dla Górala...

– Skąd Góról wiedział, że Jałóń będzie dysponował taką sumą?

– Wcale nie wiedział. Po prostu próbował na różne sposoby...

– Na co potrzebował tych pieniędzy?

– Mecenas kupił sobie niedawno samochód. Zostało mu jeszcze roi d” zapłacenia. Nie dysponował aktualnie tą sumą, a z przyjętego zobowiązania, musiał się we właściwym terminie wywiązać.

– Powiadomił pan Górala o przebiegu rozmowy z Jałoniem?

– Tak, oczywiście.

– A kiedy widział się pan ostatnio z Góralem?

– Właśnie w piątek u Perlika. Góról miał jakąś rozprawę sądową w sobotę w Bydgoszczy i o ile mi wiadomo wyjechał tam rannym pociągiem. Mówił, że wróci dopiero w czwartek lub piątek.

– Jeszcze jedno. Co pan robił w sobotę wieczorem?

– W sobotę? Miałem spektakl. Wyszedłem z teatru jak zwykle po tej sztuce około godziny dziesiątej dwadzieścia. Potem jeszcze wstąpiliśmy z kolegami na kolację do SPATiF-u.



Gdy Wężecki w ukłonach wycofywał się w stronę drzwi, Karwań z uznaniem obrzucił wzrokiem jego zgrabną sylwetką w dobrze skrojonym garniturze.

Po chwili miejsce Wężeckiego zajął Zylbert, który wchodząc do pokoju automatycznie poprawiał włosy, węzeł krawatu i przyciskając łokcie do bioder, niedostrzegalnym w jego odczuciu ruchem, podciągał lekko spodnie. Karwań uśmiechnął się na ten widok. Jeszcze do niedawna sam nie potrafił powstrzymać się od tych wszystkich zabiegów wchodząc do pomieszczenia, w którym znajdowali się nowi ludzie.

Zylbert zajął wskazane mu krzesło i swobodnie założył nogę na nogę. Na pytania odpowiadał zwięźle, bezbarwnym głosem.

– ... nie, nie byłem umówiony z Jałoniem. Mówi pan, że w piątek? To jakieś nieporozumienie – wyjął mały kalendarzyk i przerzucił kilka kartek. – Ach tak, rzeczywiście, mam tu nawet zaznaczone... Ma pan rację, piątek... Oczywiście, że na przyjęciu u Perlika rozmawiałem z Jałoniem. O czym? To trudno powiedzieć... Wypiłem kilka wódek... Naprawdę nie przypominam sobie treści tych rozmów... O pogodzie. O literaturze... Mam wrażenie, że nie obyło się bez powrotów do naszych lat młodzieńczych... W sumie nasze spotkanie było bardzo nieciekawe... Ot, zdawkowe uwagi na temat tego, kto się postarzał, a kto nie i tym podobne rewelacje intelektualne... Czy Jałóń był zaangażowany przed wojną w działalność polityczną? Formalnie, o ile mi wiadomo, nie. Nawet na pewno nie. Ale wszyscy znaliśmy jego poglądy, które były postępowe. Ach nie, nie w stopniu wyróżniającym go spośród naszego grona. Byliśmy wówczas jeszcze pod względem politycznym bardzo niedojrzali, ale, jak na ówczesne warunki, myśleliśmy zdrowymi kategoriami... Co mam na myśli mówiąc „wówczas”? Lata 1937, 38, 39. Właśnie w tym okresie utrzymywaliśmy bliskie stosunki przyjacielskie... My, to znaczy grono osób, które spotkało się w ubiegły piątek u Perlika... Tak, ja Jałonia znałem nieco wcześniej. Poznaliśmy się w trzydziestym piątym na Uniwersytecie Wileńskim. Potem obaj przenieśliśmy się do Warszawy. ... Zadaje pan nieoczekiwane pytania. Oczywiście, że należą do partii... Od czterdziestego siódmego roku... W sobotę?... Wróciłem do domu około siódmej i już nie wychodziłem. Miałem pilną pracę, którą musiałem wykończyć...



Po wyjściu Zylberta Karwań skrupulatnie przejrzał poczynione dzisiaj notatki. Przez chwilę jego ręka z długopisem zawisała nad nimi bez ruchu. Potem zdecydowanie dopisał: „Zmarnowany papier i czas”. W milczeniu wpatrywał się w stojącą w rogu pokoju żelazną szafę i to najwidoczniej natchnęło go jakaś myśl, bowiem po słowie „czas” ukazał się duży znak zapytania.

VI

W „Antycznej” panował łagodny półmrok. Przy stoliku pod oknem dyrektor Zylbert wraz ze swym przyjacielem – inżynierem Boreckim – prowadzili ożywioną rozmowę.

– Co sądzisz o tym zaproszeniu Wężeckiego? Dzwonił do ciebie?

– Tak. Ma dziś wolny wieczór. Mówił, że Firlejówna i Perlik obiecali przyjść. Wykreśliłem się pilną robotą – Borecki wyciągnął w stronę Zylberta pudełko z papierosami.

– Ja takie. To zupełnie nie dla mnie. Obiad w SPATiF-ie, który po paru kieliszkach zamieni się w żalosalną stypę! Br...! Niech tam sobie biedny Janusz odpoczywa po trudach życia bez moich toastów. Pani Basiu – zwrócił się do kelnerki, – Proszę jeszcze dwa likiery.

– W sobotę wieczorem – Zylbert ściszył głos i przysunął się bliżej do przyjaciela – widziałem tego młodziaka od siostrzenicy Perlika. wychodzącego z „Bristolu”.

– Mam nadzieję, że nie zwierzałeś się z tego odkrycia na milicji?

– Na tyle jeszcze nie zdurniałem. No, zdrowie!

– Ja mam ciekawszą wiadomość – Borecki mlasnął lekko smakując likier. – Ten chłopak siedzi. Znaleźli u niego dolariki Jałonia.

– Co? – Zylbert był bardzo zaskoczony. – Skąd wiesz?

– Od Sosickiego. A on od swojej żony. Mówiła o tym, gdy ich przesłuchiwali i ten porucznik nie zaprzeczył. Ale o tym sza!

– To ładnie. Pozostaje nam patrzeć i słuchać. Wypijmy za pomyślność naszej milicji!

– Jestem przesądny i wolę...

– Masz rację! Po co mamy wykraczać poza przyjętą ogólnie tradycję? Za naszą pomyślność! – stuknęli się kieliszkami.



– Spójrz! – Borecki wskazał przez okno kobietę, która przechodziła właśnie przez jezdnię. – Firlejówna. Idzie oblewać śmierć swojej dawnej wielkiej miłości...

Roześmieli się niewesoło.

Firlejówna zatrzymała się właśnie, spoglądając niepewnie w niebo. Ciężkie krople deszczu zaczęły miarowo uderzać o płyty chodnika. Otworzyła parasolkę i przyśpieszyła kroku. Po trzech minutach zdejmowała płaszcz w szatni Klubu Aktora.

– No, nareszcie jesteś! – Wężeczki zbliżył się do niej. – Gustaw już czeka.

Perlik siedzący przy stoliku pod oknem podniósł się na powitanie.

– Nasza jedynaczka jak zwykle urocza! – pochylił się nad jej ręką.

– Spodziewałam się zastać liczniejsze grono. Co się stało?

– Sosicka zajęta jest w szpitalu, a Borecki i Zylbert twierdzili, że mają pilną pracę. Ale podejrzewam, że po prostu nie mieli ochoty na to spotkanie – Wężeczki nie ukrywał swego niezadowolenia. – Na co masz ochotę, Bożenko?

– Proszę o ostrzygi i żabie udka w sosie własnym... Ale jeżeli sprawiłoby to naszemu gospodarzowi trudności, to może być jakaś rybka w galarecie – Firlejówna obrzuciła długim spojrzeniem kobietę, która pojawiła się w drzwiach. – Spójrzcie, co ta Worecka a siebie wkłada! I jak można przy jej nogach nosić takie krótkie sukienki...

– Nie przejmuj się, Bożenko, Worecka daje sobie doskonale radę.

– Daj spokój, zawsze uważasz mnie za antyfeministkę...

– Ależ skąd, wiem doskonale, że bardzo lubisz kobiety. Szczególnie ładne i... młode.

– Jesteś obrzydliwy! – Firlejówna śmiechem pokryła lekkie rozdrażnienie.

– Jestem przemiły, Bożenko! całkowicie podzielam twoje poglądy. Pani Róziu – zawołał do kelnerki – niech się pani nami zaopiekuje, dobrze? – pocałował ją w rękę. – Pani jest moją dożywną miłością!

– Dobrze, dobrze! Co podać?



– Przede wszystkim połówkę! Pośpiesz się – zwrócił się do Perlika studiującego kartę – przecież widzisz, że pani czeka.

– To nie tyle pani się śpieszy, ile ty – Perlik zdjął okulary o pieczołowicie przecierał szkła chusteczką – ale żeby było prędzej ja także poproszę o tego szczupaka w galarecie. No, a potem, jeśli pozwolisz, ośmielę się zamówić coś na gorąco.

– Tylko bez pijaństwa, moi kochani – bez przekonania oponowała Firlejówna widząc, z jakim zapałem Węzecki zabrał się do napełniania kieliszków – Mam jeszcze na dzisiaj robotę.

– Nie żartuj. Co masz zrobić dziś – zrób jutro. To zasada, którą radzę ci kierować się stale, a życie upłynie ci jak sen jaki złoty. Zdrowie!

– Czyje? – cicho zapytał Perlik.

– Oczywiście dam!

– O nie! – zaoponowała Firlejówna. – Nie uczciliśmy jeszcze pamięci naszego „drogiego nieobecnego”.

Perlik skrzywił się z niesmakiem i w milczeniu wypił wódkę.

– Prawdę powiedziawszy – odezwał się po chwili Węzecki – to bardzo chciałbym wiedzieć, co wy na temat tej śmierci myślicie.

– Śmierci? – prychnęła Firlejówna. – To bardzo łagodnie powiedziane. Wiem tylko tyle, że ten młody porucznik prowadzący śledztwo również i mnie pozwolił sobie dzisiaj zaliczyć do grona podejrzanych.

– Nie jesteś w tym osamotniona. Mnie także. Na szczęście mam murowaną alibi – Węzecki roześmiał się głośno. – No, ale żarty na bok, on rzeczywiście tak ze mną rozmawiał, jakby mnie naprawdę podejrzewał,

Perlik zamyślił się.

– W tym co mówicie nie ma nic śmiesznego. Dla milicji wszyscy znajomi Jałonia mogą być podejrzani...

– A twoim zdaniem kto zabił Janusza?

– Nie jestem wróżką – niechętnie mruknął Perlik.

– Ja mogę być tą wróżką, Bożenko. Gustaw, machnij ręką na tego chłopaka!...

– Ja mogę, ale Teresa?



– Co z tym ma wspólnego Teresa? – zainteresowała się Firlejówna.

– Nie tyle Teresa, ile jej chłopak. Znaleźli u niego dolary Jałonia i przymknęli młodzieńca. Dlatego Gustaw nie chce być wróżką.

– Szyrga?! – Firlejówna z wrażenia odsunęła talerz z napoczętym szczupakiem. – Panowie, przecież ten chłopak nie byłby zdolny do czegoś takiego! Ja znam się na ludziach, zaufajcie mi!

– My ci możemy zaufać, ale milicji ten argument raczej nie wystarczy. Teresa też jest twojego zdania, ale to zrozumiale.

– Perlik powoli napełniał kieliszki. – Biedna Teresa dorobiła jut całą ideologię do tej sprawy. Uważa, że klucz do zagadki zabójstwa Jałonia tkwi w przeszłości, a ponieważ, jak jej się wydaje łącznikami z przeszłością było jedynie grono osób obecnych u mnie na powitalnym przyjęciu, więc stąd prawdopodobnie te podejrzenia porucznika...

– Nie wiem, gdzie tkwi ten, jak mówisz, klucz, ale ja potwarzam: tego na pewno nie zrobił Szyrg.

– Ależ Bożenko, czy człowiek ma wypisane na twarzy, do czego jest zdolny, a do czego nie? Nawet Gustaw nie występuje w obronnie tego chłopaka...

– Ale też nie oskarżam go – szybko wtrącił Perlik.

– Słuchajcie – Firlejówna zmarszczyła brwi i mówiła z napięciem – czy wy jesteście pewni, że Janusza ściągnęła do Polski jedynie tęsknota do kraju i przyjaciół? Takie sentymenty nawet nie bardzo mi do Jałonia pasują... Może miał tu jakieś swoje sprawy, a nostalgia, była jedynie pretekstem?

– Mnie mówił, że już od dawna nosił się z zamiarem odwiedzenia Polski...

– Mówił, mówił... Mówić można dużo. Ale nigdy nie wiadomo czy to prawda.

– Nie rozumiem was! Sprawa jest jasna. Trywialnie jasna. Jedyne podejrzany siedzi w ciupie, z wy zastanawiacie się, po co Jałoni przyjechał do Polski. Zostawcie to milicji, a zapewniam was, że w ciągu najbliższych dni tak nacisną Szyrga, że nie będzie już żadnych wątpliwości. Lepiej się napijmy!



– Może masz rację – bardzo cicho powiedział Perlik. – To byłby wielki cios dla Teresy.

– To już najmniejsze zmartwienia – energicznie powiedziała Firlejówna. – Pociesz się. Najważniejszy w tym jest Szyrg. Jestem pewna, że on tego nie zrobił.

– Bożenko, nie bądź nudna... – Węzecki postanowił rozładować nastroj. – Widujemy się ostatnio tak rzadko, że porozmawiajmy lepiej na pogodniejsze tematy. Poobgadujmy trochę naszych bliźnich. Spójrz, Bożenko, z jakim szczeniakiem afiszuje się Rybicka.

Firlejówna bez zainteresowania spojrzała na siedzącą opodal parę.

– Rybicki może z kociakami, to dlaczego ona nie może z chłopakami? – powiedziała obojętnie.

– Z kociakami? – zainteresował się Węzecki. – To ciekawe... Od kiedy pleć piękna interesuje tego pana?

Firlejówna wzruszyła ramionami i sięgnęła po papierosa nie podejmując tematu.

VII

Karwań odczytywał leżące przed nim arkusze dalekopisów, nadanych w Kielcach i Bydgoszczy. Komenda kielecka donosiła o pobycie Firlejówny w miejscowym hotelu w nocy z soboty na niedzielę, a Bydgoszcz informowała o trwającym dotychczas pobycie w tym mieście mecenasa. Górala. Porucznik z wyrazem zniechęcenia zgarnął kartki z tekstami meldunków i schował je do dużej, żelaznej szafy. Dochodziła godzina siódma. Otworzył szufladę i wyjął i niej niewielki pakunek owinięty w firmowy papier Centralnego Domu Dziecka. W trzy minuty później był już na przystanku tramwajowym. Tu jednak zaczął zachowywać się trochę dziwnie. Nie wsiadł do tramwaju, który właśnie nadjechał. Patrzył na oddalający się wóz i niezdecydowanie tarł brodę. Potem minął go następny tramwaj i jeszcze jeden. Karwań nie ruszał się z miejsca i obracał w rękach paczkę z CDD. Wreszcie podjął decyzję. Wrócił do gmachu Komendy. Z depozytu wy dostał rzeczy Jałonia. Rozłożył je na biurku i krzesłach w swoim pokoju. Ubrania, bielizna, przybory toaletowe, kilka książek nabytych już w Polsce. Jeszcze raz zaczął przerzucać



kartki kalendarzyka, który wskazał mu pierwszy trop. Dotąd był przekonany, że z pozostawionych przez Jałonia rzeczy odczytał już wszystko, teraz jednak postanowił szukać dalszych wskazówek. Przeglądał wszystkie przedmioty w innej kolejności, niż dotychczas, przewertował kartki książek, przeglądał jeszcze raz wszystkie kieszenie w ubraniach, oglądał bieliznę sztuka po sztuce...

Po godzinie zapalił papierosa. Usiadł w fotelu i zamyślił się. W jego świadomości, prócz silnego snopu światła skierowanego niemal nieomylnie na Roberta Szyrga, pojawił się niewielki promień biegnący w zupełnie innym kierunku. Wbrew prawom fizyki promień ten załamywał się, chwilami przerywał, aby znowu uderzać w jeden wyraźny punkt. Czuł się jak człowiek rozwiązujący krzyżówkę, mającą dać w rozwiązaniu jakieś hasło w rodzaju „Podróżuj Lotem” lub „PZU ubezpiecza ciebie i twoje mienie” i który domyśla się już brzmienia hasła, lecz nie może odgadnąć poszczególnych wyrazów pomocniczych. I właśnie brak tych wyrazów – ogniw był przyczyną jego telefonu do szpitala, w którym pracowali Sosiccy. Odetchnął z ulgą słysząc, że za pół godziny może widzieć się i dyrektorem szpitala.

Po upływie pół godziny Karwań siedział naprzeciwko wysokiego, siwego mężczyzny w białym kitlu.

– Przepraszam, że niepokoję pana o tak późnej porze – zaczęła Karwań – ale...

– Rozumiem, że nie przyszedł pan dla przyjemności i przeprowadzenia towarzyskiej pogawędki. Proszę się nie tłumaczyć – dyrektor mówił suchym, nawykłym do rozkazywania głosem – Czym mogę służyć?

– Chodzi o rzecz pozornie drobną, dla mnie jednak mającą bardzo duże znaczenie. Chciałbym się mianowicie dowiedzieć, czy niedzielne przedpołudnie miało w szpitalu przebieg zupełnie normalny? Czy nie zaszły jakieś wypadki, zakłócające porządek dnia szpitalnego?

– Wypadki? Nie, o niczym takim nie słyszałem.

– Pan mnie źle zrozumiał, panie dyrektorze. Chodzi mi o personel szpitalny. Może ktoś nie przyszedł do pracy? Może się spóźnił? Może źle się poczuł?... Ach nie, nie interesuje



mnie wcale dyscyplina pracy w szpitalu! Chciałbym tylko wiedzieć, czy nie zaszło coś w tym rodzaju w niedzielę przed południem.

– Przyznam się, że pańskie pytania trochę mnie dziwi, tym bardziej, że nie powiedział mi pan ani w jakiej sprawie prowadzi pan dochodzenie, ani jaki ona może mieć związek z personelem mojego szpitala.

– Bardzo mi przykro, ale tego panu wyjaśnić nie mogę. Zaznaczę tylko, że jest to sprawa poważna, a informacje, których mi pan udzieli w niczym nie zaszkodzą żadnemu z pańskich pracowników.

– Skoro pan sobie tego życzy... Mamy tu taką „czarną księgę”, w której powinny być odnotowane – jeśli miały miejsce – wypadki, o których pan wspomina. Oczywiście nie ręczę, czy wszystkie i czy akurat te, które pana interesują, ale możemy spróbować... – ujął za słuchawkę telefonu. – Proszę przysłać do mnie siostrę Annę.

Po chwili Karwań pochylił się nad grubym, oprawionym w karton brulionem.

– Jest – wyszeptał uduszonym głosem.

– Co jest? Co pan tu widzi?

– Byłbym panu bardzo wdzięczny za pewne wyjaśnienia fachowe – porucznik zdawał się nie słyszeć tych pytań. – Otóż...

Wyjaśnienia, których udzielał Karwaniowi dyrektor nie trwały długo i punktualnie o godzinie dziesiątej porucznik opuszczał szpital.

Początkowo chciał zatelefonować do Komendy, aby przysłali do niego milicyjny patrol. Zrezygnował jednak. „Na to będzie jeszcze czas” – pomyślał i poprawiwszy kaburę z pistoletem zaczął rozglądać się za taksówką.

Po chwili drzwi granatowej warszawy zatrzasnęły się za człowiekiem w stalowym mundurze, który ufając swym siłom wyruszał, nie przeczuwając tego, w najdłuższą podróż...

VIII

Gdy minie północ szosy wiodące do stolicy sprawiają kierowcom wiele kłopotu. Zaczynają je wówczas okupować po-



jazdy-widma, jedno i dwukonne furmanki wypełnione warzywami i owocami. Podmiejscy „badylarze” śpieszą na odsiecz rynkowi Warszawy. Człapiące noga za nogą konie usypiają woźniców. Wozy skręcają na środek szosy, niekiedy nawet na jej lewą stronę, powoli zbliżając się do światła wielkiego miasta. I tylko patrole milicji zbierają obfite żniwo w postaci mandatów.

Antoni Kobylak nie należał do tej kategorii woźniców. Tak jak był sumienny w prowadzeniu swojego gospodarstwa, tak też zdawał sobie sprawę z niebezpieczeństwa, którym grozić może pofolgowanie całodziennemu zmęczeniu. Okutany w gruby kożuch, choć do zimy było jeszcze daleko, siedział na worku wypchanym słomą i, aby odegnąć od siebie sen, nucił półgłosem piosenki poznane jeszcze w czterdziestym piątym, gdy służył w wojsku.

Zbliżał się do Bielana. Po lewej stronie szosy zamajaczyły znane kontury cmentarza żołnierzy włoskich poległych podczas pierwszej wojny światowej, gdy koń zaczął parskać, prychać, lekko zarżał, a następnie mimo szarpania lejcamy stanął, kręcąc się niespokojnie. Kobylak zszedł z wozu nie klnąc nawet za bardzo, bo już mu kości od długiej jazdy zdrętwiały, i podszedł do konia. Obejrzał się dookoła, spojrzał na asfalt, ale niczego nie dostrzegł. Korzystając z tego, że już wygramolił się z wozu, zszedł z szosy do rowu przydrożnego, mimo że noc była ciemna i wystarczyłoby mu stanąć za furmanką, skoro już był taki wstydlivy.

Potknął się o coś miękkiego. Pochylił się i namacał wypełniony czymś parciany worek. Zaciekawiony wrócił do wozu po lampę i przyświecając nią odnalazł otwór worka. Sięgnął ręką do środka i wyczuł w nim jakiś materiał. Szarpnął i oto jego oczom ukazała się milicyjna czapka z trzema gwiazdkami nad daszkiem. Odrzucił ją za siebie i szybko zajrzał do środka worka.

– O Jezui! – wypuścił z rąk lampę i wybiegł na szosę, Półprytomny i przerażony, zapominając o wozie i koniu, o towarze, który wiozł do Warszawy zaczął biec w stronę. Bielana i tylko zduszony zmęczonym oddechem krzyk „Milicja! Na pomoc! Ratunku!” rozbrzmiewał wśród nocy.



Przebiegłszy ze sto metrów zaczął zwalniać; wreszcie zatrzymał się i dla złapania oddechu przysiadł na skraju szosy. Do Bielan miał jeszcze kawał drogi, a wóz zostawił bez opieki... Podniósł się i zaczął szybko wracać. Koło furmanki stał jakiś samochód. Kilku ludzi kręciło się wokół wozu. Przyśpieszył kroku. To była milicja.

– Oj, panowie, panowie, jak to dobrze, że jesteście. Tu straszna rzecz się stała... – wołał z daleka.

Nie potrzebował im wyjaśniać. Pozostawiona w rowie lampa oświetlała wyraźnie leżący obok kształt.

– To wasza furmanka? – ostro zapytał go sierżant,

– Tak panie władzo. Jechałem do Warszawy i koń mi się jakby trochę zestrąszył, więc zszedłem z wozu i wtedy zobaczyłem ten worek. Jeszcze nie wiedziałem co tam jest, dopiero jak zaświeciłem lampą, to zobaczyłem, że tam jest ten...

– Zawiadomiłem już Komendę – podszedł do nich drugi milicjant z patrolu. – Zaraz tu będą. Tego – wskazał na Kobylaka – kazali zatrzymać.

– Mnie? A za co? – zaczął biadolić chłop. – Czy to ja co złego zrobiłem? Pierwszy zobaczyłem, jeszcze chciałem milicję zawiadomić, a wy mnie chcecie zatrzymać. Na targ się spóźniłem!..

– Nie martwcie się. Nie będą was długo trzymać. Popytają trochę i zaraz puszczą...

Coraz głośniejsze wycie syreny zagłuszyło słowa sierżanta i po chwili dojrzeli migające światło ambulansu milicyjnego. W minutę później wysiadło z niego dwóch oficerów. Najpierw szybko obejrzeli worek, a potem zwrócili się do Kobylaka.

– Chodźcie do samochodu – popchnęli go w stronę warszawy. – Więc mówicie, że jechaliście na targ...

– Toć już przecież mówiłem panu sierżantowi...

– Nie szkodzi. Powtórzcie jeszcze raz, wszystko po kolei.

– Zapalcie sobie – wyciągnął z kieszeni paczkę Giewontów. Kobylak łapczywie zaciągnął się dymem. Jeszcze chyba nigdy w życiu tak mu nie smakował papieros. Oparł się o maskę samochodu i po raz drugi rozpoczął swoją krótką opowieść o znalezieniu parcianego worka.



*

Tego dnia Gorzykowi od rana się nie wiodło. Najpierw nie wiadomo z jakich przyczyn budzik nastawiony poprzedniego wieczora zadzwonił o dwadzieścia minut później, niż to było jego budzikowym obowiązkiem, a potem sypnęła się dalsza lawina niepowodzeń. Przyśpieszone golenie spowodowało krwawiące zadrapania na szyi i pod nosem. Wstawione w tym czasie mleko, nie licząc się z tym, że przyśpieszone golenie musi trwać z natury rzeczy dłużej niż normalne, zaczęło kipieć, czego zupełnie w swym harmonogramie kapitan nie przewidział. Widząc, że wskazówki zegarka w niepokojącym tempie zbliżają się do cyfry „8” zrezygnował ze śniadania postanawiając zjeść je w bufecie. Wreszcie, gdy już wychodził, dostrzegł w lustrze, że niedokładnie natarta ałunem ranka na szyi stała się przyczyną dużej krwawej plamy na kołnierzyku koszuli. I znowu upłynęło kilka minut, zanim Gorzyk przebrał się i przeskakując po trzy stopnie zbiegał ze schodów.

W Komendzie zjawił się z ponurą miną. Od razu dostrzegł zapuchnięte od płaczu oczy siedzącej przy maszynie do pisania sekretarki.

– Co tam za zmartwienia – zagadał zdejmując płaszcz – znowu kłopoty miłosne? Za często się szanowna panienska kocha – dokończył uśmiechając się zdawkowo.

– Ma pan się zaraz zgłosić do puł... pułkownika... – chlipała. – Dzwonił już dwa razy...

– Dobrze, nie pali się. Dziesięć minut spóźnienia jeszcze nikogo nie zgubiło – powiedział ze sztuczną lekkością, pod którą krył się niepokój, że dzień niepowodzeń dopiero się rozpoczął. – Niechże pani przestanie ryczeć! Wytrzymać nie można! – wyładował swój zły humor na dziewczynie.

– Bo... bo pan nic nie wie... a dziś w nocy porucznika Karwania zabili...

– Co?! Karwania? Zabili!? – gwałtownie potrząsnął ramieniem sekretarki. – Niechże się pani wreszcie uspokoi! Miał jakiś wypadek?

– Wcale nie wypadek! Znaleźli go dziś w nocy w worku na szosie pod Bielanami – dziewczyna rozszlochała się na nowo.



Gorzyk trzasnąwszy drzwiami wypadł na korytarz. Biegając potrafił stojak z kwiatami, które z trzaskiem rozbitej doniczki rozsypały się na chodniku. Nie meldując się sekretarce otworzył drzwi gabinetu pułkownika i zatrzymał się na progu.

W pokoju znajdowało się kilka osób. Gorzyk obrzucił je szybkim spojrzeniem. Oprócz pułkownika Kalety siedział w gabinecie pułkownik Chropacki z Komendy Głównej; obok dwóch poruczników – kolegów Gorzyka – nieznajomy sierżant. Ten ostatni, speszony najwidoczniej obecnością wysokich oficerów, siedział na brzeжку krzesła skupiony i uważny.

– No, wreszcie was widzimy – powitał go sarkastycznie pułkownik. – Lepiej późno niż nigdy...

– Przepraszam bardzo, miałem zupełnie nieprzewidziane trudności – próbował się tłumaczyć Gorzyk.

– Dobrze, dobrze, siadajcie! – przerwał mu pułkownik. – Dziś w nocy o godzinie 2.39 nad ranem znaleziono ciało zamordowanego porucznika Karwania...

– Więc to prawda!... – Gorzyk przesunął ręką po czole i zastygł w tym ruchu.

– Niestety, tak... – pułkownik zamilkł na chwilę. – Ciało porucznika Karwania znalazł patrol obecnego tu sierżanta Ciszewskiego. Sierżancie, zechciejcie opowiedzieć kapitanowi, Jak to było...

– Tak Jest! – Ciszewski zerwał się przyjąwszy postawą „na baczność”.

– Siedzicie – pułkownik sprawiał wrażenie bardzo zmęczonego.

– Tak jest! – sierżant posłusznie przysiadł na brzeжку krzesła. – Więc o godzinie 2.30 patrolując odcinek szosy między Bielanami a Łomiankami zauważyliśmy jednokonną woz, nieoświetloną, stojącą na skraju szosy...

Gorzykowi niezupełnie udawało się w skupieniu słuchać niedługiej relacji Ciszewskiego. Był wstrząśnięty, nie mógł zebrać myśli. Nie uszło to uwagi pułkownika.

– Kapitanie – powiedział – to był nie tylko wasz kolega i przyjaciel. Wszyscy jesteśmy tym przybici. Musicie wziąć się w garść. Oczekujemy waszej pomocy.

Gorzyk w milczeniu skinął głową.

– To wszystko? – zapytał, gdy sierżant skończył.



– Poza tym porucznicy Moczulski i Karaś przeprowadzili wstępne oględziny miejsca, w którym znaleziono zwłoki Karwania.

– I co?

– Właściwie nic – odpowiedział szczupły blondyn – nie udało nam się wyodrębnić żadnych śladów w pobliżu worka. Oczywiście prócz śladów tego „badylarza”. Worek z ciałem Karwania został po prostu zepchnięty z szosy do rowu. Należy też pamiętać, że w nocy padał deszcz...

– Jedyne fakty bezsporne to ten, że Karwań został zamordowany około godziny 23.

– W jaki sposób?

– Głowa nosiła znaki ogólnych potłuczeń, ale niegroźnych dla życia. Zmarł na skutek uduszenia.

– Przecież miał przy sobie broń...

– Miał... i próbował jej użyć. Wprawdzie pistolet był w zamkniętej kaburze, ale odbezpieczony i bez żadnych śladów.

– Jak to?

– Najprawdopodobniej Karwań próbował użyć broni lub też groził, że jej użyje. Wyjął pistolet i zdażył go odbezpieczyć, po czym został obezwładniony. Rusznikarz stwierdził zacięcie mechanizmu spustowego. To Karwania zgubiło. Potem morderca przed włożeniem pistoletu i powrotem do kabury wytarł go dokładnie, aby nie zostawić własnych śladów.

– Czy niczego przy Karwaniu nie znaleziono w worku?

Przez chwilę panowała cisza. Przerwał ją pułkownik.

– Owszem. Znaleziono. – Położył przed Gorzykiem niewielką paczkę.

– Co to jest? – Gorzyk nie otrzymawszy odpowiedzi niezdecydowanie rozwinął papier.

– Pluszowy niedźwiadek – wyszeptał.

Zaległo ciężkie milczenie.

Przerwał je pułkownik.

– Towarzyszom dziękuję. Kapitan proszę o pozostanie.

Gdy obaj porucznicy i sierżant opuścili gabinet, Gorzyk pochylił się nad szklanym blatem biurka i oparł głowę na dłoniach.



– Jak mogło do tego dojść, żeby Karwań pozwolił się tak urządzić?

– To samo pytanie zadawaliśmy sobie i my – odezwał się milcząco dotąd pułkownik z Komendy Głównej.

– Jest w tym trochę mojej winy – Gorzyk mówił cicho i powoli. – Karwań pracował u nas stosunkowo od niedawna, ale ponieważ znam go jeszcze sprzed lat, więc pozwaiałem sobie wobec niego na różne docinki... Że jest niesamodzielny, że nie potrafi należycie prowadzić śledztwa... Karwań z pewnością wiedział, że to są przyjacielskie żarty, ale może mimo to wytworzył się w nim kompleks i zechciał nam w jakiś sposób zaimponować? Właśnie niepotrzebną brawurą...

– Brawurą!? Czy mamy przez to rozumieć, że dla was przyczyny zabójstwa Karwania są oczywiste?

– Ależ tak! – Gorzyk zdawał się być zdziwiony, że inni nie zdają sobie z tego sprawy. – Sprawa, którą Karwań ostatnio dostał, była jego pierwszą poważną robotą na naszym terenie. Miał już przedtem zabójstwa, ale to były historie prymitywne i nie nastęrczające większych kłopotów. Kiedy Karwań aresztował Szyrga pod zarzutem zamordowania Jałonia, to po kilku przesłuchaniach i na podstawie zebranych przez niego materiałów byłem o winie Szyrga przeświadczony. Ale zdawałem sobie jednocześnie sprawę, że może być z tego jedynie proces poszlakowy i że Szyrg ma duże szanse na uniewinnienie...

– No i?... – niecierpliwiał się pułkownik z Komendy Głównej.

– Karwań natomiast nie ograniczał się w swoich podejrzeniach tylko do Szyrga. Nadal jeszcze szukał. I moim zdaniem, Karwań znalazł to, czego szukał. Znalazł prawdziwego zabójcę Jałonia. I nie poradził sobie z nim, dał mu się uprzedzić. Za ten błąd zapłacił życiem...

– Z tego jednocześnie wynika – pułkownik z KG lekko się uśmiechnął – że Jałonia nie zabił...

–... nie zabił Szyrg!

– A czy nie przyszło wam na myśli, że ten sposób rozumowania mógł przewidzieć zabójca Karwania, co nie znaczy automatycznie – zabójca Jałonia?



Gorzyk spojrzał bacznie na pułkownika.

– Kelerówna?

– No, ja tego nie mówię... To tylko luźna myśl, która mi się nasunęła.

– Kończmy naszą rozmowę i zabierzmy się do działania – powiedział pułkownik Kaleta. – Kapitanie, obejmujecie po Karwaniu sprawę zabójstwa Jałonia oraz sprawę Karwania. Jeśli wasza koncepcja jest słuszna, to będziecie mieli właściwie jedną sprawę, a nie dwie. W tej teczce są wszystkie materiały, które zgromadził Karwań. Przystudiujcie to wszystko dokładnie...

– Dokładnie – to nie znaczy powoli – głos pułkownika z KG brzmiał ostro. – liczymy na was. Wszystkie nasze środki są do waszej dyspozycji!

– Przecież w każdej innej sprawie kapitan Gorzyk dysponowałby identycznymi uprawnieniami...

– Oczywiście, oczywiście... Ale ta sprawa musi być rozwiązana natychmiast. Podkreślam – natychmiast!

– To zrozumiałe!

– Nie chodzi już o to, że to był wasz przyjaciel. To był przede wszystkim oficer milicji, towarzysz, który zginął na posterunku. Tu nie może być fuszerki... ani dalszych ofiar. To wszystko!

Gorzyk podniósł się z krzesła.

– Nie, towarzyszu pułkowniku. To jeszcze nie wszystko. Jest jeszcze żona Karwania...

– Tak... Dzwoniła w nocy. Powiedzieli jej, że mąż jest zajęty. Nie wiedzieli jeszcze, że Karwań już nie żyje...

– Trzeba ją zawiadomić.

– Uczynicie to wy, jako przyjaciel Karwania i jego bezpośredni zwierzchnik. Znacnie przy tym jego żonę...

– Dobrze – westchnął Gorzyk. – Pójdę do niej, ale z wami, towarzyszu pułkowniku.

IX

Pułkownik Kaleta bezradnie spojrzał na Gorzyka. Żona Karwania szlochając krążyła po pokoju, w kącie siedziała przerażona dziewczynka, pochlipując we włochaty plusz przyciskanego do piersi misia.



– Mamusiu, patrz jakiego ślicznego misia dostałam od tatusia. Nie płacz...

Po tych słowach Karwaniową wstrząsnął nowy paroksyzm płaczu. Chwyciła w objęcia małą i przyciskając ją kurczowo do siebie patrzyła nieprzytomnymi, zalanymi łzami oczyma, powtarzając wśród szlochu „O Boże mój, Boże!”

Gorzyk przysunął się do Kalety.

– Nie możemy jej zostawić samej w takim stanie – szepnęła.

– A co mamy robić? – pułkownik był zupełnie bezradny.

– Posiedźcie tu jeszcze, a pojedę po jej matkę.

W pół godziny potem wyszli z mieszkania Karwaniów, zostawiając w nim już nie jedną, a dwie płaczące kobiety.

– Uff – odetchnął Kaleta, sadowiąc się w samochodzie – to zupełnie nie na moje nerwy. Makabryczna wizyta. Różne rzeczy już przeżyłem... Kumple ginęli o dwa kroki ode mnie, ale to były inne czasy... A dzisiaj, ilekroć muszę w podobnej misji iść do rodziny zabitego chłopaka, to mnie, psiakrew, ciarki przechodzą. Musiałem to już robić kilkakrotnie i wiecie co, Gorzyk – chwycił go kurczowo za rękę – ja wtedy czuję się współwinny takiej śmierci...

– Ależ pułkowniku... jakże możecie być winni...

– Tak, tak, sami wiecie, że mam rację... – Za każdym razem zadaję sobie pytanie, jak mogło dojść do takiego tragicznego wypadku... I zawsze mam wątpliwości, czy zrobiliśmy wszystko, żeby naszym ludziom zapewnić bezpieczeństwo...

– Przecież nie można wszystkiego przewidzieć. Ofiary były i jeszcze długo będą... Idzie o to, żeby było ich jak najmniej. A to nie jest sprawa tylko milicji.

– Och, nie zaczynajcie teraz wykładu na temat współpracy społeczeństwa z milicją. O potrzebie właściwego stosunku do naszej pracy itede, itede... Znam, to, znam... To są rzeczy oczywiste, do tego dążymy, ale trudno mi myśleć o tych sprawach nad trumną poległego kolegi... Ciężko, Gorzyk, ciężko...

Zbliżali się do placu Dzierżyńskiego.

– Zatrzymajcie się tutaj – rzucił pułkownik szoferowi. – Chciałbym napić się z wami kawy – wyjaśnił, widząc zdziwione spojrzenie Gorzyka.

Lekko sapiąc Kaleta wygramolił się z samochodu.



– Jedźcie do Komendy – pochylił się w stronę kierowcy. – Przyjdziemy z kapitanem piechotę.

– Może lepiej podjedźmy do „Muranowskiej” – zaproponował Gorzyk.

– Nie marudźcie – zniecierpliwił się Kaleta. – Wstąpimy do „Saskiej”.

– Dlaczego akurat tutaj?

– Boże mój, jakże nierównomiernie obdarzyłeś swych synów inteligencją! Łykniemy sobie tutaj po kielichu. Może ta cholerna chandra trochę popuści.

Gorzyk niechętnie zdejmował w szatni płaszcz.

– Nie lubię pić gdy jestem w mundurze – mruknął niepewnie.

– Bardzo słusznie! – Ale my nie idziemy pić, a tylko napić się. Przestańcie zachowywać się jak stara panna... A poza tym – powiedział, gdy usiedli przy stoliku – chciałbym z wami porozmawiać... Bez służbowej atmosfery mojego gabinetu.

Młody kelner pośpiesznie otrzepywał serwetką stolik.

– Ćwiartka czystej, coś na zimno i dwie kawy – zadysponował pułkownik. – Mamy stypę, psiakrew – dodał ponuro po odejściu kelnera.

– Tak, mamy stypę – Gorzyk wyciągnął papierosy i podsunął je pułkownikowi.

– Od czego macie zamiar zacząć pracę?

– Nie mam żadnych wątpliwości, że Karwań wywąchał coś w kręgu przyjaciół Jałonia...

– Dlaczego właściwie nie macie wątpliwości?

– Czytałem notatki z przesłuchań całego tego towarzystwa. Musiał wpaść na jakiś ślad, skoro go zabito...

– Chyba że...

– ... chyba że Jałonia zabił kto inny, a Karwania też kto inny. Wszystko wskazuje na Szyrga, ale Karwań zmienił zdanie na ten temat. Kto z tego towarzystwa może być jeszcze brany pod uwagę?

– Z tego, co wydobył Karwań pozostaje Jedyń Kelerówna, we współdziałania z Szyrgiem oraz Zylbert i Borecki – tylko na podstawie wniosku negatywnego: obaj nie mają na sobotni wieczór alibi. Wprawdzie alibi tego lekarskiego małżeństwa także nie jest poważne – oboje byli w kinie – ale



umieszczenie ich na naszej czarnej liście psuje mi kompozycję całej sprawy.

- Dlaczego? Za solidni?
- Nie, tylko nie mają samochodu.
- Co z tym wspólnego ma samochód?
- Przecież znaleziono Karwania za Bielanami. Chyba zabójca nie wykorzystał do tej przejażdżki taksówki?...
- Ci inni samochody mają?
- Tylko Borecki...
- No więc?...
- Zylbert nie ma wozu, ale jest zaprzyjaźniony z Boreckim i nie zdziwiłbym się, gdyby się okazało, że to jest ładniutka spółka.
- A Kelerówna jest też „zmotoryzowana”?
- Nie, ale samochód ma jej wujek – Gustaw Perlik.
- To wszystko jest dość mgliste... – w głosie pułkownika Gorzyk wyczuł nutę zniechęcenia.
- To są tylko propozycje poszukiwań... Skonfrontuję moje przypuszczenia z rzeczywistością I... i jestem pewny, że już w najbliższym czasie przedstawię rzeczowe wnioski.
- Tak... To dobrze... – pułkownik przywołał kelnera i uregulował rachunek.
- Co macie zamiar robić teraz?
- Pojadę do Perlika.
- Pożegnali się przy wejściu. W pół godziny później Gorzyk dzwonił do Willi Perlika. Pisarz był zaskoczony.
- Pan do mnie? W jakiej sprawie? – odłożył na bok poprawiany maszynopis. – Służę panu.
- Sprawa zabójstwa pańskiego przyjaciela, Janusza Jąlonia, nie została jeszcze zakończona. Obecnie ja ją prowadzę.
- Ach tak... Pan wybaczy moje zaskoczenie, ale sądziłem, że to porucznik Karwań... No, oczywiście, to są nie moje sprawy. A więc?...
- A więc, pan ma samochód marki „warszawa”. Na chodzie? W porządku?
- Tak.
- Kiedy był ostatnio urwany?
- Trudno mi dokładnie powiedzieć... Ja się ostatnio w ogóle mało ruszam... Częściej korzysta z samochodu



moja siostrzenica. Bardzo lubi prowadzić i kiedy jest w Warszawie, używa mego wozu bez ograniczeń. Dałem jej klucze...

- Gdzie stoi zazwyczaj pański samochód?
- Zostawiamy wóz po prostu na ulicy przed domem. Nie mam jeszcze garażu... – Perlik podszedł do okna. – O, proszę, właśnie stoi, widocznie Teresa powróciła.
- Co robił pan wczorajszego wieczora?
- Po południu miałem spotkanie z przyjaciółmi, z którego wróciłem... tak, parę minut po ósmej, a ponieważ poczułem się trochę zmęczony, więc położyłem się...
- To znaczy poszedł pan spać?
- Ach nie, czytałem do późna, nie zasypiam nigdy tak wcześnie, chyba, że jestem obłożnie chory.
- Czy pańska siostrzenica też była w domu?
- Nie było jej, kiedy wróciłem, Zostawiła kartkę, że wróci później.
- I o której wróciła?
- Zgasilem światło kilka minut po dwunastej i wtedy jeszcze jej nie było.
- I nie wie pan o której przyszła?
- Nie pytałem. Jest dorosła, a przy tym chciałbym, aby się u mnie czuła jak najlepiej. Jedną z form przekupienia młodej kobiety – uśmiechnął się melancholijnie.
- Czy pani Keler korzystała wieczorem z pańskiego samochodu?
- Nie. Gdy wróciłem, samochód stał przed domem.
- Gdzie pan sypia?
- W pokoju naprzeciwko... Panie kapitanie – Perlik na chwilę zawiesił głos – mówił pan, że prowadzi pan sprawę Jąlonia. A przez cały czas wypytuje pan o wczorajszy wieczór, o Teresę. Nie rozumiem...
- W przyszłości wszystko panu wyjaśnię. Mam nadzieję, że w niedalekiej przyszłości... Na razie zapewniam pana, że pytania moje mają ścisły związek ze śledztwem. – Gorzyk zapalił papierosa. – To, że samochód stał przed domem około godziny ósmej, nie wyklucza możliwości, że w godzinach późniejszych był wykorzystywany. Prawda?



– Nie sędzę...

– Jak to? – Gorzyk był bardzo zdziwiony. – Nawet w tym pokoju nie słyszeliśmy kiedy przyjechała pani Keler. A cóż dopiero mówić o pokoju, którego okna wychodzą na drugą stronę domu...

– Co to znaczy? – w głosie Perlika zabrzmiał niepokój.

– To znaczy, że pani Keler mogła wyjechać samochodem... Powiedzmy około godziny 22...

– To już może zechce pan na ten temat porozmawiać z nią samą.

– Właśnie mam ten zamiar.

– Poprosić Teresę tutaj, czy też...

– Wolałbym przejść do niej.

– Proszę bardzo. Drugie drzwi na prawo na parterze.

Gdy wszedł do pokoju Kelerówny, Teresa obrzuciła go długim, nieprzyjaznym spojrzeniem.

– Czy pan w zastępstwie porucznika Karwania?

– Prowadzę obecnie sprawę Jałonia.

– Może to lepiej. Jakoś nie mogłam znaleźć wspólnego języka z porucznikiem. Mam nadzieję, że przede wszystkim poleci pan zwolnić Szyrga. Wyrządzą mu krzywdę.

– Pan Szyrg wyrządził sobie krzywdę sam – jeśli już mamy operować takimi terminami.

– On nie zabił Jałonia!

– Widzę, że i ze mną będzie pani trudna znaleźć „wspólny język”...

– Bardzo mi przykro.

– Chciałbym porozmawiać z panią o wczorajszym wieczorze.

– O wczorajszym wieczorze? – głos Teresy lekko zadrżał, policzki zaróżowiły się. – O co panu chodzi?

– Chciałbym się dowiedzieć, co pani robiła wczoraj między godziną 22 a 24?

Teresa odwróciła się od kapitana. Stała nieruchomo, wpatrzona w okno, jakby zapomniała o jego obecności. Potem wolno przeszła przez pokój i zatrzymała się przy toalecie. Spokojnie ujęła w długie palce o jaskrawoczerwonych paznokciach ciężki staroświecki pucharek w kształcie kwiatu



lilii i trzymając go w prawej ręce zbliżyła się do Gorzyka. Twarz miała pociemniała i złą.

„Mój Boże, czyżby historia miała się powtórzyć” – pomyślał dość bezsensownie Gorzyk.

Dziewczyna usiadła i z uwagą przypatrywała się trzymanemu w ręce przedmiotowi.

– Nie odpowiem panu na to pytanie – powiedziała wreszcie powoli.

– Niechże pani nie będzie dzieckiem. I tak pani powie. Nie tu, to gdzie indziej.

– Ooo!

– Tak. Nie tu, to gdzie indziej – powtórzył z naciskiem.

– Ależ zapewniam pana, że to nie ma nic wspólnego ze sprawami, które pana interesują.

– Ze sprawami?... Interesuje mnie tylko jedna sprawa. Co pani ma na myśli mnożąc moje kłopoty?

– Żadnych pana kłopotów nie mnożyłam i nic mnie to wszystko nie obchodzi! Oprócz tego, żeby Robert nareszcie został zwolniony.

– Jeśli pan Szyrg jest niewinny, to jego zwolnienie nastąpi tym prędzej, im większą pomoc okaże mi pani odpowiadając na pytania. Niechże pani zrozumie, że moja wizyta jest najlepszym dowodem tego, że śledztwo jeszcze trwa, że nie uznaliśmy pani narzeczonego za niewątpliwego sprawcę zabójstwa. To chyba jasne, prawda? Pani upór jest nieuzasadniony. Pani działa na szkodę Szyrga.

– A więc dobrze. Wczoraj wieczorem byłam w kinie. W „Moskwie”...

– O której skończył się seans?

– Przed jedenastą.

– A potem?

– Po wyjściu z kina nie chciałam wracać do domu i postanowiłam przespacerować się. Bez celu. Na Puławskiej przypadkowo spotkałam koleżkę, z którym nie widziałam się od kilku lat. Był z jakimś swoim przyjacielem. Byli już trochę... no, byli bardzo weseli... Powitanie, głupawa rozmowa jak zwykle po kilku latach niewidzenia i w rezultacie zgodziłam się pojechać z nimi do restauracji...



– Jakiej?
– „Pod Kandelabrami”. Przyznam się, że byłam zadowolona z możliwości spędzenia wieczoru w jakimś towarzystwie... Tak mi ciężko, gdy jestem sama... Niestety, nie długo potem przekonałam się, że moi towarzysze byli bardziej podpici niż sądziłam. Wypili jeszcze trochę i zaczęli rozrabiać...

– Co to znaczy?
– Zachowywać się niewłaściwie. Chwilami chciało im się spać, to znowu tańczyć i dalej pić... Po jakimś czasie po ciachu się wyniosłam. Nawet tego nie zauważyli. Byłam wściekła na siebie, na nich, na Roberta, na wszystkich... Wróciłam do domu piechotą... No, i to cała moja tajemnica – roześmiała się nieszczerze.

– Nazwisko tego kolegi?
– Janusz Urbaczek.
– Zawód? Gdzie mieszka?
– Inżynier. Nie wiem gdzie mieszka. Gdzieś pod Warszawą. A jego kolega nazywa się Andrzej i to wszystko co o nim wiem.

– Tak... Pozwoli pani, że odbędziemy razem niewielką przejażdżkę?

– Jak to?
– Niech się pani nie denerwuje. To długo nie potrwa... Czy mogę skorzystać z telefonu? – nie czekając na odpowiedź wyszedł do hallu i nakręcił numer Komendy.

W pięć minut później siedział z Teresą Keler w milicyjnej warszawie. Po chwili szczipły kelner z czarnymi wąsikami uważnie przyglądał się Teresie.

– Przy tamtym stoliku? Wczoraj wieczorem? Tak, przypominam sobie. Było dwóch panów i pani. Ale pani to chyba nie była długo...

– To znaczy do której? – szybko wtrącił Gorzyk.
– Bo ja wiem? – kelner niezdecydowanie podrapał się za uchem. – Tak szczegółowo to ja nie zwracałem uwagi. Dużo gości miałem do obsłużenia... A tym to nawet niewiele podawałem, bo już mieli dosyć. Ale czy ta pani siedziała tu godzinę czy trzy, to ja nie powiem. Wiem tylko, że ci panowie wychodzili sami.



– A teraz dokąd? – zapytała Teresa, gdy znowu zatrzasnęły się za nimi drzwiczki samochodu.

– Zaraz pani zobaczy – ponuro odpowiedział Gorzyk.
Teresa wzruszyła nieznacznie ramionami i zapaliła papierosa. Obojętnie patrzyła na mijane ulice: MDM, plac Dzierżyńskiego, Żoliborz, Marymoncka... Po prawej stronie mignęła wieża AWF-u, drzewa Lasu Bielańskiego... Wreszcie zatrzymali się, Gorzyk wysiadł pierwszy i podał dziewczynie rękę.

– Zaczekamy pod tym drzewem.
– Na co mamy czekać? – zapytała obojętnie.
– Za chwilę pani zobaczy... Nie poznaje pani tego miejsca?
– Znam Warszawę na tyle, żeby wiedzieć, gdzie się znajduje, ale nie mam tu nic do rozpoznawania.

W tej samej chwili nadjechała od strony Bielan szara warszawa. Stała w pobliżu Gorzyka i Teresy. Przy kierownicy siedziała młoda kobieta. Wysiadła, otworzywszy tylne drzwiczki wozu i z widocznym wysiłkiem zaczęła wyciągać i niego duży, parczany worek. Oglądając się ciągle we wszystkie strony przyciągnęła worek na skraj szosy i zepchnęła go do rowu. Jeszcze raz lekko rozejrzała się dokoła i szybko wsiadła do samochodu, ruszając z miejsca z dużą szybkością.

– Co to było? – niespokojnie zapytała Teresa.
Gorzyk, obserwujący przez cały czas twarz Kelerówny nie potrafił ukryć rozczarowania.

– Nie interesuje panią zawartość tego worka? – zapytał bez przekonania.

– Bardzo. Ale to chyba pana resort... – odpowiedziała niepewnie.

– Proszę panią bardzo o sprawdzenie jego zawartości.
– Skoro pan sobie tego życzy... – zbliżyła się do rowu i niezgrabnie – była na szpilkach – zeszła w dół. Pochyliła się nad workiem...

– Ooo! – Kelerówna gwałtownie wyprostowała się. – Tam ktoś jest! Co to za głupie kawały?! – pochyliła się znowu i z widocznym zdenerwowaniem zaczęła rozsuwać otwór worka. Najpierw ukazała się oficerska czapka milicyjna, a następnie twarz mężczyzny.



– Przecież on nie żyje! – krzyknęła szarpiąc się z workiem.
– Niechże mi pan pomoże!

– Żyje, żyje! – Gorzyk odciągnął ją od worka. – I da sobie radę bez pani pomocy. Proszę wyjść. Koniec! – Zawołał w stronę worka, z którego po chwili niezgrabnie wymotał się młody milicjant. Kelerówna ze zdziwieniem przyglądała się, jak mniemany nieboszczyk otrzepuje kurz, który osiadł na szarym kombinezonie.

– Proszę do samochodu! – Gorzyk pierwszy wszedł do warszawy, za nim w milczeniu uczyniła to samo Kelerówna i milicjant. – Wracamy!

Kelerówna przyjęła papierosa, lecz przez dłuższą chwilę nie zapalała go.

– Czy porucznik Karwań nie żyje? – zapytała nagle, lekko schrypniętym głosem.

– Skąd to pani przyszło do głowy? – Gorzyk był zaskoczony pytaniem,

– Nie odpowiada mi pan... Nie chce mi pan odpowiedzieć, ale to jest dla mnie jednoznaczne z potwierdzeniem. I co? Znalezione go właśnie w tym miejscu, w worku, a ja jestem podejrzana o dokonanie tego morderstwa. Wyborne!

– Tak. Porucznik Karwań został zamordowany. A pani jest bardzo inteligentna, albo bardzo sprytna. Zresztą jedno nie wyklucza drugiego.

– Przykro mi, ale nie mogę się panu odwzajemnić podobnym komplementem.

– W ogóle nie możemy znaleźć „wspólnego języka”, prawda? – Gorzyk ze złością zgniół w kieszeni pudełko zapalek. – Domagam się od pani zachowania dyskrecji. Nikt nie może dowiedzieć się od pani o śmierci porucznika Karwania ani o naszej przejażdżce na Bielany.

– Dobrze. Ale chciałabym zwrócić panu uwagę, że dalsze zatrzymywanie Szyrga jest już teraz zupełnie pozbawione podstaw.

“O panienko, pamiętasz o wszystkim” – pomyślał kapitan, a głośno powiedział:

– Ten problem niech już pani pozostawi mnie.



Gdy Gorzyka zawiodły nadzieje, jakie wiązał z inscenizacją rozegraną przed Kelerówną, postanowił, wprawdzie bez przekonania, powtórzyć scenę bielańską przed Zylbertem i Boreckim. Już poprzednio wydał dyspozycje wezwania ich do Komendy. Obaj na niego czekali, każdy w innym pokoju. Kazał wprowadzić najpierw Zylberta.

– Przyznam się, że nie miałem dotąd nigdy tak intensywnych kontaktów z organami bezpieczeństwa – powiedział tonem towarzyskiej pogawędki i swobodnie usiadł za biurkiem kapitana, jak zwykle zakładając nogę na nogę. – Domyślałem się, że w dalszym ciągu chodzi o Jałonia. Zapewniam pana, kapitanie, że wszystko co na ten temat miałem do powiedzenia, przekazałem porucznikowi Karwaniowi...

– Co pan robił we wtorek wieczorem między 22 a 24 – przerwał mu szorstko Gorzyk.

– We wtorek? A cóż to mole mieć wspólnego z Jałoniem? Przecież...

– Proszę odpowiadać. A więc?

– Wczorajszy wieczór spędziłem u Inżyniera Boreckiego.

– U niego w domu?

– Tak.

– Gdzie mieszka inżynier?

– Na Bielanych – w głosie Zylberta nie odczuwało się nawet cienia wahania.

– Czy to był jakieś spotkanie towarzyskie? Może brydż?

– Nie. Inżynier Borecki przygotowuje pewien projekt, który mam zamiar wykorzystać w moim przedsiębiorstwie. Omawialiśmy różne szczegóły.

– Do której byt pan u Boreckiego?

– Wyszliśmy około jedenastej.

– Obaj?

– Tak. Borecki postanowił odwiedzić mnie do domu swoim wozem.

– O której godzinie znalazł się pan w domu?

– Około pół do dwunastej. Mieszkam, jak panu zapewne wiadomo, na Kruczej.

– U inżyniera są dobre warunki do pracy?



– Owszem. Ma duże mieszkanie, a przy tym w tej chwili nie ma w Warszawie jego rodziny.

– Ach tak! A gdzie jest rodzina inżyniera Boreckiego?

Zylbert spojrział na kapitana z wyraźną dezaprobatą. Jego wzrok wyraźnie mówił: „Już nie wiesz, o co pytać, durniu”. Zaciągnął się papierosem i odpowiedział ironicznie:

– Jeśli nawet to pana interesuje, spieszę z informacjami. Są w Krynicy. Moja żona jest tam również.

– Ach, pańska żona również!

– Czy pan uważa to za coś szczególnego?

– Nie. Tylko tak się dziwnie składa, że gdy tylko dzieje się coś ciekawego w sprawie, która i pana przecież interesuje, to pan oraz inżynier Borecki sprawiacie wrażenie mizantropów, których nikt ani nie widzi, ani nie słyszy. Bo przecież mam rację wnioskując z tego co pan mówi, że wczoraj o interesującej mnie porze nikt panów nie widział i nie słyszał?

– Jak mam to rozumieć?

– Tak jak mówię! Zastanawiający jest ten regularny zbieg przypadkowych okoliczności! Niestety, nie będzie pan mógł na razie wrócić do domu!

– Ale... – Zylbert był zaniepokojony. Jego ironiczny spokój gdzieś się ulotnił.

– Żadne ale! Będzie pan jeszcze zajęty tutaj przez około półtorej godziny. Dziękuję panu. Proszę czekać w sekretariacie.

Po chwili miejsce Zylberta zajął Borecki. Usiadł na brzegu krzesła, nerwowo kręcił na palcu obrączką i sprawiał wrażenie człowieka, który chciałby swoją osobą nikomu nie zawracać głowy.

„Mogę się założyć, że powie słowo w słowo to samo co tamten” – pomyślał kapitan ze zniechęceniem i bez większego zainteresowania powtarzał pytania, zadawane przed chwilą Zylbertowi.

Tego dnia parciany worek z milicjantem wewnątrz był jeszcze dwukrotnie użyty na szosie pod Bielanami. Dwukrotnie powtórzyła się scena, w której uczestniczyła niedawno Teresa Keler, z tą różnicą, że worek był taszczony do rowu przez mężczyznę.

Zylbert, który pierwszy był uczestnikiem przedstawienia, w ogóle nie zdradzał chęci oglądania jego zawartości.



– Co mnie to obchodzi! – mruknął, gdy Gorzyk zaproponował mu zajrzenie do środka. – Niech pan obejrzy, skoro to pana interesuje... Nie mam zwyczaju wścibiać nosa w nie swoje sprawy.

– Ale może ta sprawa jest właśnie pańska?

Niechętnie podszedł do worka, a kiedy wyczuł w nim ludzką twarz, drgnął i szybko cofnął rękę.

– Jestem pewny, że to nie jest moja sprawa – powiedział chłodno. – Sądzę, że to raczej pan powinien zbadać zawartość tego tobołu.

Gdy Gorzyk powoli odchylił worek, odsłaniając twarz mężczyzny, Zylbert wyjął papierosa i spokojnie go zapalił...

W drodze powrotnej do Śródmieścia zapytał z wyraźnym niesmakiem:

– Po co inscenizował pan tę komedię?

Gorzyk nie odpowiedział. Rosła w nim złość i zdenerwowanie, powodowane kolejnym niepowodzeniem. Nie zmienił jednak swego planu i w pół godziny później nad parciany worek pochylał się Borecki. Obmacywał go drżącymi palcami, rzucając co chwila niepewne spojrzenie na stojącego nad nim Gorzyka.

– Co to jest?! Co to jest?! – krzyknął głosem nabrzmiałym przerażeniem. Zachwiał się i ciężko upadł na trawę. Po chwili spojrział błędnie dokoła i przetarł zroszone potem czoło.

– Dlaczego pan to zrobił? Szybko, niech pan mówi! – ostrym szeptem rozkazywał Gorzyk.

– Zrobił... Co zrobi!?!... – Borecki sprawiał wrażenie niezupełnie przytomnego. – Przecież to pan mi kazał zajrzeć do tego worka...

– Niech pan mówi prawdę! Zabił pan porucznika Karwania i wrzucił go pan do rowu! Tak?

– Ja? Porucznika Karwania? – Inżynier oprzytomniał nagle. – Porucznik Karwań nie żyje? Przecież jeszcze wczoraj rozmawiał ze mną! I po co ja miałbym go zabijać? Ja zabijając porucznika Karwania! Panie... kapitanie... Po co ja miałbym zabijać porucznika Karwania?... – zaszlochał histerycznie i złapał się za serce. – Pić! – wyszeptał oddychając głośno.



Gorzyk poważnie zaniepokojony stanem Boreckiego miał początkowo zamiar odwieźć go do szpitala na Wołoską, jednak po paru minutach inżynier poczuł się lepiej.

– Bzdurna historia! – mruknął do siebie kapitan z wściekłością po odwiezieniu Boreckiego do jego domu. – Facet mógł się przejechać na tamten świat! Przez ciebie... I zmarnowany czas.

Mylił się jednak w tym momencie kapitan Gorzyk. „Bzdurna historia” okazać się miała w niedalekiej przyszłości czasem niezamarnowanym.

Gdy tylko przybył do Komendy przekazano mu dwie teczki, zawierające akta personalne Boreckiego i Zylberta. Rzucił je na biurko niemal ze złością i zaczął chodzić po pokoju, przemierzając go wzdłuż i wszerz. Kosz na śmiecie, kopnięty energicznie, potoczył się na środek pokoju... Z trudem oparował się i zasiadł do dalszej pracy.

Przejrzał życiorys Zylberta i Boreckiego, zwracając specjalną uwagę na ostatnie lata przedwojenne, jednak zdania obejmujące ten okres były bardzo ubogie. Borecki uzyskał swój dyplom inżynierski w Warszawie; Zylbert studiował początkowo na Uniwersytecie Wileńskim, a następnie przeniósł się do Warszawy. Okres okupacji obaj spędzili w Polsce. Żadnego punktu zaczepienia...

To był bardzo zły dzień w życiu Gorzyka. Eksperyment bielański zawiódł, sprawa nie posunęła się ani o krok naprzód... Gorzyk jednak postanowił nie rezygnować z podjętej linii poszukiwań. Był zupełnie pewny, że Karwań na tej właśnie drodze znalazł śmierć, a więc droga ta jest jedyna...

W pewnej chwili jego wzrok padł na podpis widniejący na dyplomie Boreckiego. Uderzyło go znajome brzmienie nazwiska podpisanego profesora. Sięgnął po książkę telefoniczną i aż uśmiechnął się z zadowolenia, że tym razem los okazał się dla niego przychylny. Mimo późniejszej pory postanowił jeszcze dziś zobaczyć się z profesorem. Sięgnął po słuchawkę telefoniczną, w pięć minut potem siedział już w samochodzie, mknącym w stronę Śródmieścia.



– Do pana profesora? W jakiej sprawie? – tęga kobieta w fartuchu próbowała indagować kapitana. – Jest późno. Może pan się pofatyguje jutro?

– Proszę puścić tego pana. Właśnie czekam na niego – głos profesora przyszedł Gorzykowi z odsieczą, a po chwili on sam ukazał się w przedpokoju dopinając bonżurkę.

– Proszę, niech pan wejdzie – zapraszał do pokoju. – I niech pan nie zwraca uwagi na bałagan – wskazał na zarzucone książkami i papierami biurko – ale właśnie...

– To ja przepraszam, że o tej porze, ale sprawa jest bardzo pilna.

– No słucham, słucham, i to nawet i dużym zaciekawieniem, bowiem z policją nie miałem do czynienia bodaj od trzydziestego szóstego, kiedy to... No, niech pan mówi, bo bym pana zanudził na śmierć.

– Mam tutaj odpis dyplomu inżynierskiego z okresu przedwojennego, podpisany przez pana profesora – wyjął niewielki arkusz papieru.

– Nie ma w tym nic dziwnego. Takich dyplomów podpisałem w swoim życiu bardzo wiele... Proszę pokazać... Zygmunt Borecki... Możliwe, że miałem takiego studenta, ale po tylu latach... A o co chodzi?

– Ba – zasępił się Gorzyk. – Właśnie miałem nadzieję, że pan profesor przypomni go sobie i opowie mi o nim coś bliższego.

Starszy pan oglądał uważnie odpis dyplomu i twarz jego nagle się zasępiła.

– W tym jest coś dziwnego – powiedział. – Ten dyplom jest wydany w trzydziestym ósmym roku... Czy pan mógłby mi pokazać oryginał?

– Nie wiem, czy Borecki go posiada, ale sądzę, że tak...

– Nie. Właściwie nie potrzeba nawet tego – profesor wstał i zaczął przechadzać się po gabinecie. – Już teraz mogę z całą pewnością powiedzieć, że ten dyplom jest sfałszowany.

– Co?

– Sfałszowany. I będę tak twierdził nawet wówczas, gdy mój podpis na oryginale będzie prawdziwy. Ostatecznie mógł



w jakiś sposób zdobyć blankiet z moim podpisem, chociaż to bardzo mało prawdopodobne. Ale po tylu latach któż pamięta szczegóły dotyczące się pracy dziekanatu. A zresztą tą genialni fałszerze...

– Nie mówmy o tym co będzie, gdy okaże się, że pana podpis jest prawdziwy. Proszę mi najpierw wyjaśnić, na jakiej podstawie...

– Na jakiej? Po prostu, kapitanie – profesor zajął miejsce naprzeciw Gorzyka – ja w trzydziestym ósmym nie podpisałem ani jednego dyplomu. Byłem poważnie chory i od kwietnia do września siedziałem w Zakopanem.

– To bardzo ciekawe... Czy pan profesor jest pewien, że...

– Czy jestem pewien, że przez pół roku siedziałem w sanatorium i że było to w trzydziestym ósmym? Panie, mogę mieć zmiany sklerotyczne, ale nie w takim stopniu...

– Nie miałem niczego podobnego na myśli...

– To się tak mówi, a w duchu się myśli „e, co tam ten stary może pamiętać” – profesor sapiąc pochylił się nad dolnymi szufladami dużej, staroświeckiej szafy. – O, tu powinny być zdjęcia pamiątkowe z Zakopanego... Ale to pewnie panu nie wystarczy... Zaraz, gdzie to ja mogę mieć te szpargały?...

– Ależ naprawdę, niech się pan profesor nie fatyguje...

– Nie, nie. Skoro pan do mnie przyszedł, to widocznie sprawa jest dla pana ważna, a teraz, gdy wytworzyła się tak dziwna sytuacja, to chciałbym panu dostarczyć namacalnych dowodów, że w trzydziestym ósmym...

– Dobrze. Gdy będę ich potrzebował, zwrócę się jeszcze raz do pana profesora. Proszę mi powiedzieć, czy spotkał się pan już z fałszowaniem dyplomów?

– Podpisanych przeze mnie nie, lecz obity mi się o uszy podobne wypadki. Ale mam wrażenie, że najlepszych informacji może panu udzielić inżynier Borecki...

– Rzeczywiście – roześmiał się Gorzyk. – Zwrócę się do niego na pewno. Ale pana będę jeszcze musiał prosić o pomoc przy stwierdzeniu autentyczności dyplomu. Tyle, że o nieco wcześniejszej porze niż dzisiaj...

– O każdej porze. Ta sprawa dotyczy teraz także i mnie.



Po wyjściu od profesora Gorzyk polecił szoferowi odwieźć się do domu. Mruknięciem zbył jego próby nawiązania rozmowy na temat śmierci Karwania. Patrząc na przesuwane się po szybie samochodu wycieraczki, rozmyślał o otrzymanych przed chwilą informacjach i próbował powiązać fakt fałszerstwa z osobą Jałonia.

Znalazszy się w domu szybko nastawił radio, aby zgodnie ze swym zwyczajem jak najszybciej oderwać się od spraw zawodowych, o których rozmyślanie powodowało zawsze nieprzespane noce. Dziś jednak trudno mu było zapomnieć o wypadkach ubiegłego dnia, a nade wszystko o śmierci Karwania. W wirze roboty nie myślał o nim zbyt wiele... Teraz, gdy znalazł się sam w pustym mieszkaniu, ciągle widział przed sobą twarz zabitego kolegi.

Machinalnie umył się i wypił szklanekę herbaty, a potem długo leżał wpatrując się w ciemność i nie mogąc zasnąć. Noc trwała długo, dręczyły go koszmarne majaki. Zasnął twardo dopiero nad ranem, po wziętym w środku nocy zimnym prysznicu.

Nazajutrz rano, zaraz po przyjeździe do Komendy, polecił zebrać szczegółowe informacje na temat przedwojennej przeszłości Boreckiego oraz Zylberta.

Wkrótce potem zameldował się porucznik Mochnacki, którego zadaniem było odnalezienie wśród waluciarzy znajomych Szyrga, Po minie wchodzącego oficera Gorzyk poznał od razu, że jego misja zakończyła się fiaskiem.

– Niczego nie znalazłem, towarzyszu kapitanie – potwierdził przypuszczenia Gorzyka porucznik – Przebadaliśmy wczoraj z chłopcami kilkunastu złotych ptaszków i nic. Może wyniuchali w tym jakąś poważniejszą aferę, ale to mało prawdopodobne. Nie trafiliśmy na najmniejszy ślad ich powiązań, czy choćby znajomości z Szyrgiem.

– Proszę nie przerywać poszukiwań, przecież Szyrg niezależnie od tego czy zabił Jałonia, czy też nie, musiał mieć jakieś źródło zbytu. Chyba nie miał zamiaru tych dolarów zaszyć w pończochę...

– A może po prostu mówi prawdę – nieśmiało zauważył porucznik Mochnacki.



– Prawdę, prawdę – zdenerwował się Gorzyk. – Nie możemy wierzyć we wszystkie bajeczki, które nam się opowiada! Naszym założeniem powinna być podejrzliwość, musimy wszystko sprawdzać! Nie chcecie chyba twierdzić, że wyczerpaście wszystkie swoje możliwości?

Porucznik milczał.

– Dobrze – powiedział wreszcie. – Podejmiemy tę robotę. Ale mówiąc szczerze, nie widzę szans powodzenia.

Przewidywania porucznika Mochnackiego okazały się słuszne. Dalsze poszukiwania domniemanych współników Smyrga nie przyniosły żadnych rezultatów, trafiono jedynie przy okazji na odbywające się nielegalne operacje finansowe i trzech waluciarzy zostało zatrzymanych.

Dwa dni poszukiwań przyniosły natomiast trochę materiałów dotyczących młodzieńczej przeszłości Boreckiego i Zylberta. W ich wyniku kapitan Gorzyk wezwał obu panów na kolejną rozmowę. Do Boreckiego uprzednio telefonował. Inżynier nie był zaskoczony.

– Skoro pan mnie potrzebuje, to oczywiście już jadę. Za pół godziny będę u pana.

– Wydaje mi się, że w ciągu pół godziny pan nie zdąży.

– Dlaczego? Załatwię jeszcze tylko dwa papierki i wsiadam do samochodu.

– Tak, ale chciałbym, aby pan po drodze wstąpił jeszcze do domu – Gorzyk zawiesił głos – i wziął stamtąd swój dyplom ukończenia studiów.

W słuchawce zaległa cisza.

– Dyplom? – rozległ się po chwili nieco zmieniony głos Boreckiego. – Przecież, o ile mi wiadomo, wszystkie moje akta personalne znajdują się na milicji. Odpis mojego dyplomu także znajduje się wśród tych dokumentów.

– Tak, ale mnie chodzi o oryginał. A więc czekam na pana za godzinę – zakończył rozmowę.

Borecki spóźnił się.

– Przepraszam za spóźnienie – zaczął się usprawiedliwiać od progu – ale...

– Niech pan się nie tłumaczy. Doskonale wszystko rozumiem. Szukał pan długo dyplomu. Taki drobiazg niezmiernie



łatwo może się w mieszkaniu zawieruszyć. Z pewnością żona gdzieś go wetknęła... Reasumując – dyplomu pan nie przyniósł. Ale to chowanie głowy w piasek na długo sprawy nie załatwi. Niech pan siada. No, z jakiej to tajemnicy chciałby pan mi się zwierzyć?

Borecki sapiąc, ocierał z czoła kropelki potu.

– Nie wiem, o czym pan mówi. Nie mam żadnych tajemnic, a w każdym razie takich – uśmiechnął się z wyraźnym przymusem – z których chciałbym się panu zwierzyć...

– O, teraz pan jest szczery – roześmiał się Gorzyk. – A więc nie bawmy się dalej owijaniem w bawełnę tego, o czym obaj doskonale wiemy. Pański dyplom jest sfałszowany. Nigdy pan nie ukończył studiów inżynierskich.

– Ależ jak pan może tak mówić.. Na jakiej podstawie?... Jestem przecież cenionym fachowcem...

– W to wierzę. Ale to świadczy tylko o tym, że albo pan z biegiem lat stał się człowiekiem zdolnym, albo przestał pan być leniem. Skłonny jestem wierzyć w to drugie. A więc wracając do rzeczy. W roku trzydziestym ósmym nie był wydany dyplom nie tylko na nazwisko Zygmunta Boreckiego, ale w ogóle nie ujrzał światła dziennego żaden dyplom, na którym widniałyby podpisy profesorów takie, jak na pańskim sfałszowanym świstku. To jest fakt sprawdzony i nie ma tutaj żadnych wątpliwości. Dowody są niezbite. – Gorzyk przerwał na chwilę, patrząc na czerwieniejącą i blednącą na przemian twarz Boreckiego. – W jaki sposób zdobył pan ten dyplom? Kto go podrobił?

Borecki milczał.

– Zaprzeczanie temu, co mówię jest zupełnie bezcelowe, panie inżynierze – Gorzyk powiedział to bez ironii, prawie życzliwie. Borecki z determinacją, odważnie spojrzawszy prosto w twarz kapitana i zacinając się z lekką powściągliwością:

– Widzi pan, ja rzeczywiście miałem duże trudności ze studiami. Za bardzo interesowały mnie... inne sprawy. A dyplom musiałem w trzydziestym ósmym zdobyć, bo rodzina, która była przekonana o mojej pilnej nauce, w ogóle by mnie wykłęła...

– I wydziedziczyła?... – domyślnie uśmiechnął się Gorzyk.



– Właśnie... No cóż, młody byłem... lekkomyślny... Zdecydowałem się na kupno dyplomu.

– Od kogo go pan kupił?

– Ja... Ja nawet nie wiedziałem, jak ten człowiek się nazywał. Widziałem go w ogóle dwa razy w życiu... Pierwszy raz, gdy podawałem mu personalia i... i zaliczkę, a drugi – gdy odbierałem dyplom.

– W jaki sposób trafił pan do niego?

– Za pośrednictwem Jaloń.

– Aha. Domyślałem się tego. Czy to był jego wspólnik?

– Ach nie, nie sądzą, Jaloń wyświadczył mi jedynie przyjacielską przysługę... Zresztą może... Kto to dziś sprawdzi po tylu latach... Ale panie kapitanie, ja przecież od tamtej pory nauczyłem się bardzo wiele. Na pewno więcej, niż bym się nauczył będąc wzorowym studentem i zdobywając dyplom legalną drogą. Mam ogromną praktykę...! Jaki ma pan zamiar uczynić z tego użytek? Przecież cały mój zawodowy, życiowy dorobek może być zmarnowany. Ja... ja mam rodzinę...

Ostatnie zdanie zabrzmiało jak jęk.

– To jeszcze nie wszystko – powiedział twardo Gorzyk.

– Nie wszystko?! Panie kapitanie!... To naprawdę wszystko!

– Nie. Na przyjęciu u Gustawa Perlika Jaloń robił niemiłe aluzje do pańskiego wykształcenia, nieprawdaż? Przestraszył się pan, że Jaloń, człowiek nie najbardziej kryształowy, może dla pijackich żartów, bądź innych powodów, zdradzić pana tajemnicę, rujnując, jak sam pan przed chwilą powiedział, pańskie życie. Postanawia więc pan pozbyć się na zawsze niebezpiecznego świadka. W tym celu składa pan wizytę w sobotę wieczorem w hotelu „Bristol” i...

– Nie! Nie! Nie! To nieprawda! Nigdy nic podobnego nie przyszło mi nawet do głowy. Jak pan może! To oszczerstwo!

– Tylko spokojnie, panie Borecki, ustalmy jeszcze raz po kolei fakty...

I przesłuchanie zaczęło się od początku. Po upływie pół godziny Borecki, bagatelizując ten fakt, przyznał się do spotkania z dyrektorem Zylbertem w kawiarni hotelu „Bristol” w sobotę o godzinie 9 wieczorem. Twierdził jednak, że celem



tego spotkanie była wyłącznie przyjacielska pogawędka. Mimo tych zapewnień Borecki został zatrzymany w areszcie Komendy.

Teczka z aktami inżyniera Boreckiego powędrowała do żelaznej szafy. Jej miejsce na biurku kapitana zajęła inna, równie napeczniała od gromadzonych w ciągu lat dokumentów.

– Czy dyrektor Zylbert został wezwany do nas? – spytał przez telefon sekretarkę.

– Dzwonił, że będzie za dziesięć minut.

Gorzyk wrócił do przerwanej lektury. Jeszcze raz przeczytał życiorys i ankietę personalną Zylberta.

– Dzień dobry. Jestem do usług – Zylbert wchodząc do pokoju, przycisnął charakterystycznym dla niego ruchem łokcie do bioder, podciągając spodnie. Zabieg ten wywołał nieznaczny uśmiech na twarzy Gorzyka. Zupełnie tak samo zareagował na ten ruch kilka dni temu porucznik Karwań...

– Cieszę się, że pana wreszcie widzę. – Gorzyk wskazał krzesło.

– Zdziwiałe! – Zylbert mówił swoim zwykłym, chłodnym i ironicznym głosem. – Niedawno przecież mieliśmy przyjemność rozmawiać ze sobą... A więc słucham? Jaki jest powód tego wezwania?

– Chodzi o pewien drobiazg. Wydaje mi się słuszne, aby pan zechciał uzupełnić swoją ankietę personalną.

– Moją ankietę?

– Tak – kapitan podsunął arkusz papieru. – O, ta rubryka. U pana jest pusta. A chyba niesłusznie. Proszę, oto pióro.

– Nie bardzo rozumiem, o co panu chodzi?

– O wypełnienie pustej dotychczas rubryki dotyczącej przynależności do organizacji politycznych przed wojną...

Wzrok Zylberta padł na biurko, gdzie wśród innych papierów leżał numer przedwojennego pisma „Ruch Młodych”, organu faszystowskiej organizacji Falanga. W jednej chwili Zylbert podjął decyzję. Ujął podane mu pióro i z twarzą nie wyrażającą żadnych uczuć, napisał wyraźnie jedno słowo: „Falanga”.

– Teraz z kolei ja chciałbym zadać panu pytanie – ostro spojrział na Gorzyka. – W jakim celu wyciągnął pan tę histo-



rię? Mam wielu osobistych wrogów, ale pana nie miałem za szczytu do nich zaliczać.

– I słusznie. To, że sprawa ta została wyciągnięta z przeszłości jest dziełem przypadku. Dlatego też poza zawiadomieniem o poznanych faktach Komisji Kontroli Partyjnej nie będę na ich temat dyskutował, ani ich oceniał. – Kapitan przejrzał na chwilę, sięgnął po numer „Ruchu Młodych” i ciągnął dalej: – W tym szanownym organie Falangi jest między innymi interesująca wzmianka o pewnym pogromie Żydów, którego pan był bohaterem. Jest tu mowa także – kapitan pochylił się nad pismem – o Januszu Jałoniu, który stał w obronie napadanych, w wyniku czego....

– Znam zarówno przebieg tych zająć jak i treść tej notatki. Nie potrzebuje mi pan jej cytować. Czy tylko po to wzywał mnie pan do siebie? Jeżeli tak, to chyba niepotrzebnie. Niech pan, zgodnie ze swym zamierzeniem, odeśle te materiały do Komisji Kontroli. Na tym chyba sprawa między nami się zamyka. Nie sądzę, żebym miał wiele trudności z wytłumaczeniem się z grzechów młodości i ze wskazaniem motywów, które mną kierowały, kiedy poczynając od czterdziestego piątego roku chciałem ukryć swą przynależność do Falangi.

– Ja mam na tę sprawę odmienny pogląd. Zestawmy następujące fakty: o grzechach pańskiej młodości, jak pan to ładnie i niewinnie określił, wie obecnie niewielu ludzi. Niektórzy zapomnieli. Inni nie są zainteresowani w ujawnieniu tamtych historii, bo być może uderzyłyby to w nich samych... Teczkę historii swego życia z napisem „lata 1936/38” mocno pan zasznurował i odłożył ad acta. I oto nagle zjawia się Jałoń. Człowiek, który bardzo dobrze wie o pańskich sprawach z owych lat. Szybko się pan zorientował, że człowiek ten dziś jest zupełnie inny. Trochę pijak, trochę hochsztapler...

– Do takich wniosków nie ma pan żadnych podstaw!

– Owszem, mam. Otóż zjawia się Jałoń i już podczas pierwszego spotkania, wypiwszy kilka kieliszków, zaczyna nawiązywać do tamtych czasów, dowcipkując na temat zmiany pańskich poglądów. Lada moment, przy tej czy innej okazji bomba może wybuchnąć. Nie, nie miał pan najmniejszych powodów do radości z przybycia starego kolegi, który w każ-



dej chwili może zawalić gmach, tak misternie przez pana budowany w ciągu wielu lat...

– Mówiłem już panu, że nie obawiam się żadnego „zawalenia się gmachu”, jak pan to obrazowo określa!

– Proszę mi nie przerywać! W razie wyjawienia tej historii dostanie pan dobrze po głowie. Kariera zawodowa, mówiąc ogólnie, na pewien czas zahamowana... Trzeba trafu, że pan Borecki żywi w stosunku do Jałonia podobne obawy i uczucia... I oto obaj panowie spotykają się w kawiarni hotelu „Bristol”. O kilka pięter nad nimi przebywa ich przyjaciel...

– Nie byłem w sobotę w żadnej kawiarni – przerwał ostro Zylbert.

– Wydaje mi się, że nie mówiłem nic o sobocie – jadowicie uśmiechnął się Gorzyk. – Ale pan ma oczywiście rację. To było istotnie w sobotę. Pan Borecki opowiadał nam już o tym spotkaniu. Wejście do Jałonia na górę i załatwienie waszych brudnych spraw było tylko formalnością... Miejmy na dzieje, że sąd dopatrzy się w waszym postępowaniu wielu okoliczności łagodzących – tym razem Gorzyk był ironiczny.

– Nieprawda! Nieprawda! – opanowany dotychczas Zylbert zaczął się trząść jak w ataku febry. – Tak, byłem w kawiarni w Bristolu. To prawda. Umówiłem się tam z Boreckim. Panie, przecież ja się bardzo często spotykam z ludźmi w kawiarniach! Ale wszystko poza tym jest pańską fantazją! Nie dość, że pan wyciąga sprawy, z których nikt nie odniesie korzyści, a które mogą mnie zniszczyć, to jeszcze...

– A więc jednak nie wszystko wygląda tak różowo, Jak pan twierdził dotychczas.

– Możliwe, możliwe, ma pan w tym wypadku rację, ale to posądzenie jest absurdalne.

Zylbert odrzucił maskę spokoju i opanowania, uparczywie jednak powtarzając „nie”.

Również i on, podobnie jak Borecki, został zatrzymany w areszcie Komendy.

Po zakończeniu przesłuchania Gorzyk głęboko się zamyślił. Przecież Karwań nie zdążył chyba wpaść na ślady przedwojennej przeszłości Zylberta i Boreckiego, a jednak został zamordowany. A więc musi istnieć jeszcze jakiś inny



śląd, który wytropił nieżyjący porucznik. I Gorzyk ze zniechęceniem odsunął akta ostatnich przesłuchań...

XI

– Czyżby nowa zbrodnia z tej samej serii? – zastanawiał się w dwa dni później kapitan Gorzyk, jeszcze raz odczytując raport, który w godzinach południowych został nadany przez Komendę MO W Kielcach.

Tego dnia rano jeden z kieleckich roznosicieli mleka bezskutecznie starał się dostukać do mieszkania, którego lokatorka zapomniała wystawić butelkę. Zaintrygowani hałasem sąsiedzi zaczęli wyglądać ze swych mieszkań.

- Może jej się coś stało. To przecież starsza osoba,
- I mieszka sama.
- Trzeba wylamać zamek,..
- Po co. Skoczcie no po Kowalskiego. Od czego jest ślusarzem.

W wyniku zbiorowo podjętej decyzji drzwi zostały otworzone. Lokatorka mieszkania leżała na podłodze bez śladów życia. Po stwierdzeniu tego faktu, opinia zbiorowa postanowiła zawiadomić pogotowie (“na wszelki wypadek, teraz, moja pani, cuda przecież robią”) oraz milicję.

Jak stwierdzono podczas wstępnego badania, Helena Robelkova, lat 63, została uduszona poprzedniego dnia wieczorem. Śledztwem zajęła się miejscowa milicja nie trafiając na razie nie tylko na podejrzanych, ale nawet nie domyślając się motywów popełnionego przestępstwa. Robelkova mieszkała w Kielcach od roku czterdziestego piątego. Utrzymywała się z renty po mężu, pracowniku miejscowej poczty. Żadnych większych oszczędności nie miała. Ze wszystkimi żyła w zgodzie, uczynna i lubiana przez sąsiadów. Bliższej rodziny nie miała. I wszystkie te fakty z pewnością nie dotarłyby już po kilku godzinach na biurko oficera Komendy Stołecznej, gdyby nie mały świstek papieru leżący na komodzie i przyciśnięty fotografią męża zamordowanej. Była to wycięta z gazety krótka notatka. Donoszono w niej, że w hotelu „Bristol” w Warszawie został zamordowany obywatel francuski polskiego pochodzenia nazwiskiem Janusz Jaloń i że ze względu na dobro śledztwa dalszych szczegółów na razie się nie podaje.



Oficer z kieleckiej milicji wiedząc o toczącym się w Warszawie śledztwie, które po śmierci Karwania stało się w kręgach milicyjnych dość znane, doszedł do wniosku, że oba morderstwa mogą mieć ze sobą jakiś związek. Dlatego też kontynuując podjęte przez siebie śledztwo, zawiadomił o poznanych dotychczas faktach milicję warszawską.

Gorzyk nie zlekceważył sugestii kieleckiego oficera, mimo iż nie wiedział jeszcze wówczas, że poprzedniego dnia Kielce gościły licznych przyjaciół Janusza Jaloń. Wśród nich była również Sylwia Norkstein, z którą Jaloń odbył na pokładzie tego samolotu swą ostatnią podróż – z Paryża do Warszawy. Tę właśnie podróż, która przyniosła Sylwii długo oczekiwane spotkanie z Andrzejem Koleckim.

Elegancki fiat w spacerowym tempie zbliżał się do Kielc. Mężczyzna prowadził wóz lewą ręką, prawą obejmował kobietę, która siedziała przy nim bez ruchu, obserwując ginące pod kołami pasmo szosy.

Mężczyzna urwał gwizdaną melodię w pół taktu.

– Sylwio, odezwij się wreszcie, bo zasnę. Masz taką minę, Jakbyśmy jechali z pogrzebu...

– Albo na pogrzeb... Ale wiesz co, Andrzej – ożywiła się nagle – to jednak zabawne, że dopiero teraz, mieszkając na stałe we Francji, poznaję Polskę. Na przykład na Świętym Krzyżu nigdy dotąd nie byłam. A to robi wrażenie. Brr... przyjemny pobyt mieli skazańcy w tym więzieniu.

– Nie to co teraz – radia, telewizory...

– Dlaczego żartujesz? Widziałam w Stanach takie komfortowe więzienia.

– Polskich jeszcze nie zwiedzałaś?

– Co znaczy to „jeszcze”? – ucięła krótko.

Przez następne minuty znowu jechali w milczeniu.

– Nie rozumiem, dlaczego jesteś ostatnio taka rozdrażniona? Ja ci chyba nie dostarczam do tego żadnych powodów? – jego palce zaczęły błądzić po karku i włosach towarzyszki; poddawała się, pieszczocie, lekko przymrużając oczy. – A jednak kotka zawsze z ciebie wychodzi. W tej chwili zła kotka...

– Dokąd teraz pojedziemy?



– Proponuję Opolskie, Wrocław, Zieloną Górę... Ile czasu chcesz poświęcić swoim ciotkom?

– Och, te dwa dni na razie zupełnie wystarczają. Przed wyjazdem wstąpię do nich jeszcze na dwa, no, najwyżej trzy dni... Zostawię, im trochę dolarków i to je w zupełności usatysfakcjonuje.

– Ciągle nie mogę uwierzyć w ten przypadek...

– W jaki przypadek?

– Że przyleciałaś do Polski tym samym samolotem, co Jałóż...

– Och, znowu musisz do tego wracać! Przecież tyle razy ci już mówiłam. Ja tego nie inscenizowałam, a on? Nie sądzę. I tak miał mnie w ręku. Zresztą skończmy już raz z tym tematem. Mówmy już lepiej o tej twojej ziemi kieleckiej. Podobała się Żeromskiemu, podoba się tobie, więc i ja nie mogę być o niej innego zdania.

– Jeżeli to jest jedyny powód, to znaczy, że byłem marnym przewodnikiem.

– Jesteś najmilszym przewodnikiem, jakiego udało mi się, spotkać w życiu. Kielecczyzna mi się naprawdę szalenie podoba. Dziwię się, że po ostatnich wypadkach nie dostrzegam u ciebie żadnego odprężenia. Z naszego życia zniknęła dręcząca zmora, jaką był ten łobuz. Ja w każdym razie czuję się, jakby mi spadł z serca wielki kamień.

– Może masz rację. Ale widzisz, tak bardzo pragnęłam jego śmierci, że teraz nie potrafię się z niej cieszyć.

– To nawet ładnie z twojej strony...

– Nie lubię podobnych żartów!

– Znowu się denerwujesz, a ja mówię zupełnie serio – odwrócił na chwilę wzrok od szosy i zająrzył jej w oczy. – O czym teraz pomyślałaś?

– Sądzę, że o tym samym co i ty. O tym, że jeszcze ciągle nie potrafimy myśleć i rozmawiać pomijając ten temat. Jałóż, Jałóż, ciągle on. Jakby nie dość go było do tej pory.

– Nie martw się. To przejdzie. Zapomnimy. Tak, jak się zapomina o koszmarnych snach.

Minęli tablicę z napisem „Kielce” i po chwili samochód zatrzymał się przed hotelem. Podeszli do recepcjonisty.



– Miały być dla nas zarezerwowane pokoje – mężczyzna wyjął swój dowód osobisty oraz zagraniczny paszport – Andrzej Kolecki i Sylwia Norkstein.

W godzinę później Sylwia Norkstein ze swym towarzyszem, trzymając się pod rękę, oglądali wystawy na głównej ulicy miasta.

– Patrz, nawet tutaj można spotkać znajomych – wskazała duży afisz umieszczony na wystawie księgarni.

– Rzeczywiście. Perlik. Wieczór autorski. I to właśnie dziś.

– Chcesz, pójdziemy. To może być zabawne.

– Możemy. Nie znam go, ale jego książki są niezłe.

Zatrzymali się przed budynkiem teatru.

– Oho, tutaj też jakieś gościnne występy i to „z udziałem artystów scen warszawskich”.

– Nie śmieję się. O widza teatralnego trzeba walczyć, a taki „udział” ma być rękojmią wysokiego poziomu. Zobaczymy, kogo proponuje się kielczanom.

– Andrzejku! – zawołała Sylwia. – Zmieniamy plany na dzisiejszy wieczór! To może być jeszcze bardziej zabawne.

– Co?

– Ten spektakl. Zobacz – Bolesław Węzecki. To takie mój kolega, Z tej samej paczki co Perlik. Muszę go zobaczyć na scenie. Bo widzisz, Perlika mogę sobie wyobrazić jako pisarza, który oczarowuje słuchaczy, natomiast Bolka, jaka aktora absolutnie nie.

– Twoja wola, kochanie. To zrozumiałe, te pójdziemy tam, gdzie ty zechcesz.

– Mój Boże, jakis ty zgodny. To świetnie. Wracamy do hotelu. Muszę się przebrać.

W hotelu czekała Sylwią Norkstein Jeszcze jedna niespodzianka. Mimo że Kolecki ciągnął ją za rękę na górę, długo przyglądała się kobiecie, która wraz z towarzyszącym jej mężczyzną załatwiała formalności meldunkowe.

– Co ty się tak w nią wpatrujesz – szepnął wreszcie zniecierpliwiony. W tym momencie nieznaną kobietą podniosła głowę znad wypełnianego formularza i spotkała skierowany na siebie wzrok. Uśmiechnęła się niepewnie. Obie zaczęły się jednocześnie do siebie zbliżać.



– Sylwia?
– Tak, to ja, Irenko. Daj pyska.
Obaj mężczyźni cierpliwie czekali, aż zakończy się długa ceremonia powitania.
– Świetnie wyglądasz, Sylwio, nic się nie zmieniłaś. – Irena Sosicka powiedziała to bez charakterystycznego dla kobiet akcentu ironii, niezauważonego przez innych, a zrozumiałego jedynie przez adresatkę.
– Nie przesadzaj. Przecież to nie ty mnie poznałaś, a ja ciebie.
– Pozwól, to mój mąż. A nazywam się teraz Sosicka.
– Ta uwaga jest istotnie konieczna – śmiała się Sylwia.
– Wobec tego i ja ci się muszę przedstawić. Do czego to dochodzi po krótkim, dwudziestopięcioletnim niewidzeniu.
Sylwia zaproponowała Sosickim wspólne spędzenie wieczoru w teatrze. Sosicka jednak odmówiła, tłumacząc się zmęczeniem.
– Mąż nie czuje się najlepiej i chce się wcześniej położyć do łóżka. Ale wpadnij koniecznie do nas po teatrze, bo jutro już nas nie będzie w Kielcach. Skoro świt jedziemy naszym wozem dalej.
– Doskonale, ale to ty przyjdiesz do mojego pokoju, zgoda? Będziemy mogły sobie spokojnie poplotkować nie przeszkadzając twojemu mężowi – zadecydowała Sylwia.
Kolecki tego wieczoru uczestniczył w jeszcze jednym, najmniej serdecznym powitaniu z Bolesławem Wężeckim. Znudzony, jak mógł nadrabiał uśmiechem i pogodną miną. Wiedział, że Sylwia w pełni to doceni.
Dzień, w którym zamordowano Helenę Robelkową, obfitował w niespodziewane spotkania nie tylko w Kielcach. Jedno z nich nastąpiło w Warszawie na Placu Dzierżyńskiego w godzinach przedpołudniowych. Teresa Keler, powiadomiona telefonicznie przez Roberta o jego zwolnieniu z aresztu, oczekiwała nań na ławeczce przed Komendą. Gdy tylko go zobaczyła zerwała się i pobiegła w jego stronę. Szyrg zatrzymał się przy wartowniku i sięgnął po portfel. Wyjął jakiś papierek i wręczył go milicjantowi.
– Jesteś wreszcie! Boże, Boże, taka byłam już o ciebie niepokojna – przytuliła głowę do jego piersi.



– Halo, obywatelu! – rozległ się tuż za nimi głos wartownika. Oboje drgnęli i podświadomie przytulili się bliżej do siebie.
– Czego on jeszcze chce – zdążyła wyszeptać.
– Wypadło wam coś z kieszeni – milicjant podawał Szyrgowi niewielki kartonik, który Robert szybko wsunął do kieszeni.
– Dziękuję bardzo. – Ujął Teresą pod rękę. – Chodźmy już stąd. Marzę o kawie. Może wstąpimy do „Muranowskiej”?
Usiedli przy stoliku i Robert zamówił dwie kawy. Pił w milczeniu uśmiechając się do Teresy.
– Coś ty zgubił w bramie? – zapytała nagle.
– Drobiazg. Jakiś świstek.
– Ale co? – nalegała wiedziona kobiecą intuicją, – Pokaż.
– Och, co i co! Kwitek na koszule w pralni.
– Kwitek na koszule dałeś mi w piątek i w robotę odebrałam je – mówiła powoli akcentując każdy wyraz. – Pokaż co to jest. – Wyciągnęła rękę w stronę kieszeni, do której Robert włożył zgubiony kartonik.
– Chcesz, żebyśmy się od razu pokłócili?
– Nie. Chcę tylko wiedzieć co to jest.
– Nie masz do mnie zaufania?
– Chcę wiedzieć co to jest – powtórzyła, z uporem.
Robert z westchnieniem sięgnął do kieszeni i zrezygnowany rzucił na stół fotografię Katarzyny Nieryckiej...
Teresa w milczeniu przyglądała się zdjęciu, potem spojrzała na jego drugą stronę.
– Ślicznie! „Zawsze Twoja Kasia”. To wzruszające: Cóż za przywiązanie! Data? – jeszcze raz rzuciła okiem na dedykację. – Ostatnia sobota! Tuż przed spotkaniem ze mną zbierasz takie miłe pamiątki od swoich miłości! Och, co za idiotka ze mnie!
Zerwała się z krzesła i rzuciwszy na stolik fotografię pobiegła w stronę wyjścia. Szyrg, oszołomiony tak szybkim obrotem sprawy dopiero po chwili próbował ją gonić.
– Pan nie zapłacił za kawy – zatrzymał go przy drzwiach spokojny głos kelnerki. Nim wyjął z portmonetki pieniądze, odebrał z szatni płaszcz i wypadł z kawiarni, Teresa zbliżała się już do placu Dzierżyńskiego. Zdażył jeszcze zauważyć, jak zatrzymała nadjeżdżającą taksówkę i zniknęła w jej wnętrzu.



Nie widząc żadnego pustego samochodu zwolnił kroku. Był pewny, że Teresa pojechała na Mokotów do mieszkania Perlika. Postanowił jechać za nią tramwajem.

Gdy wsiadał do „dwójki” szczupły mężczyzna, który opuścił budynek Komendy na pięć minut przed Szyrgiem, a następnie obserwował scenę w kawiarni, wsiadł do drugiego wagonu.

– Panienci nie ma – powitała Szyrga gospościa – Wyjechała.

– Jak to wyjechała? – zaniepokoił się. – Dokąd?

– Do Krakowa! Nawet nie pożegnała się z wujkiem, bo go nie ma w domu. Powiedziała, że otrzymała depeszę i musi nagle wracać. Depeszę otrzymała! A ja nic o tym nie wiem, co? Czy to można, kiedy wiedzieć co strzeli do głowy takiej smarkatej?!

Szyrg spojrzął na zegarek. Za piętnaście minut odchodził pociąg do Krakowa. Zaklął głośno.

– Warto, żeby pan sobie język trochę przytarł – zawołała za nim gospościa zatraskując drzwi.

Puścił się biegiem w stronę najbliższego postoju taksówek.

– Panie, nie może pan pędzej?! – gorączkowo przynaglał kierowcę.

Znad kierownicy odpowiedziało mu wzruszenie ramion.

– Jedziemy przepisowo – czterdziestką. Mandat pan będziesz płacił, czy ja?

Gdy wpadł do hali dworcowej, usłyszał płynący z głośników komunikat o odejściu pociągu do Krakowa. Wyrzwał na peron. Długi wąż wagonów oddalał się z coraz większą szybkością.

Wolno podszedł do tablicy z rozkładem jazdy. Następny pociąg odchodził za trzy godziny. Wykupił bilet i zrezygnowany zajął stolik w restauracji. W sąsiadującym z restauracją bufecie pochylił się nad kuflem piwa szczupły mężczyzna w szarej jesionce... Wiedział, że ma przed sobą trzy godziny nudnego oczekiwania. Wiedział także, że w ciągu tych trzech godzin nie ruszy się stąd nigdzie. Nigdy przecież nie wiadomo, czy posiadacz biletu do Krakowa nie zrezygnuje z podróży...



Szyrg jednak nie zrezygnował. Po piętnastu minutach wyszedł wprawdzie z restauracji, ale tylko po to, aby w kiosku „Ruchu” kupić kilka gazet i czasopism.

Wreszcie podstawiono pociąg do Krakowa. Podążający za Szyrgiem mężczyzna w szarej jesionce zajął miejsce w sąsiednim przedziale, w rogu przy drzwiach, tak, aby widzieć Szyrga wychodzącego ze swojego przedziału. Zresztą po co miałby wychodzić? Chyba do toalety... Mężczyzna w szarej jesionce nie wziął jednak pod uwagę okoliczności nieprzewidzianych. Po przeszło trzygodzinnej podróży pociąg ruszył ze stacji w Kielcach i mężczyzna w szarej jesionce zamierzał już sięgnąć po „Szpilki”, gdy drzwi sąsiedniego przedziału otworzyły się gwałtownie i na korytarzu mignęła sylwetka Szyrga. To były sekundy. Gdy mężczyzna dobiegł do otwartych drzwi wagonu Szyrg podnosił się właśnie z peronu po niezbyt udanym skoku. Mężczyzna stanął na stopniu wagonu i zawahał się. Stracił szansę. Pociąg gwałtownie przyśpieszył, wjechał z hałasem na sieć zwrotnic i zostawił w tyle wysepkę peronu, na którym skonsternowany wywiadowca spostrzegł znajomą sylwetkę Teresy Keler. Z siarczystym przekleństwem wszedł z powrotem do wagonu. Pociąg pełną szybkością mknął do Krakowa...

Tymczasem na kieleckim peronie Teresa przyglądała się poobcieranym dłoniom Roberta, z których spływały krople brunatnej krwi.

– Och, Robert, Robert, co ty wyprawiasz? Po co skakałeś? Chodź, gdzieś tu powinien być punkt sanitarny. Trzeba opatrzyć twoje ręce.

– Widzisz, wszystko przez ciebie. Po co uciekałeś? Nie dałaś mi się nawet wytłumaczyć. A teraz pytasz jak niewiniątka po co skakałem. Powinienem właściwie machnąć ręką i w ogóle za tobą nie jechać.

– Masz rację, masz rację... Ale przecież widzisz, że wysiadłam w Kielcach. Jak myślisz, dlaczego?

– O Boże, nie wiem. Któż pojmie kobietę!

– Miałam wracać do Warszawy najbliższym pociągiem – wyznała z odrobiną zażenowania i pogładziła go po twarzy.

– O, tutaj powinni mieć przynajmniej jodynę – popchnął drzwi z wymalowanym znakiem czerwonego krzyża.



– Wyglądasz jak po katastrofie – spoglądała na jego obandażowane dłonie po wyjściu z dworca.

– A to był tylko skok z pędzącego ekspresu!

– No – roześmiała się – nie przesadzaj.

– Zawsze miałeś skłonności do bagatelizowania moich osiągnięć.

– Tak sądzisz? – spojrzała na niego przeciągle. – Wydaje mi się, że wręcz odwrotnie. Szczególnie ostatnie osiągnięcia...

– Widzę, że zanosi się na dalszy ciąg poważnej rozmowy. No, ale najwyższy czas po temu. Tu w pobliżu jest kawiarnia.

– Nie, wcale nie mam na myśli twojej Kasi... To nieważne. Przeszli na drugą stronę ulicy.

– Czy wiesz, że jakiś facet chciał za tobą skakać z pociągu?

– Tak? Konduktor?

– Nie. Cywil.

– Jak to cywil? Nie rozumiem...

– Boże, jakiś ty nieroztropny. Komuś widocznie bardzo zależało na tym, aby się z tobą przedwcześnie nie rozstać.

– Tak uważasz? – twarz Szyrga zasępiła się.

– Oczywiście! Wyobrażałeś sobie, że jeśli cię wypuścili, to oznacza to koniec tej całej sprawy? Ale niepotrzebnie aż tak się tym zdenerwowałaś – dodała prędko widząc jak Szyrg oglądał się za siebie. – Jakoś to będzie.

Weszli do kawiarni.

Późnym wieczorem tego samego dnia znowu znaleźli się na dworcu już całkowicie pojednani. Pociąg pośpieszny z Krakowa do Warszawy był jak zwykle pełny. Teresa i Robert przesuwali się w stronę przedniej części pociągu bezskutecznie szukając wolnych miejsc. Doszli do wagonu pierwszej klasy.

– Nie ma mowy. Nie będziemy płacić dodatkowo za pierwszą klasę. – Teresa chciała się wycofać. – Zresztą i tak nie starczyłoby nam pieniędzy.

– Chodźmy, tam dalej może być jeszcze druga klasa – Robert pchnął drzwi do korytarza i ruszył dalej.

BRAK DWÓCH ODCINKÓW



– Właśnie. Sosiccy dzisiejszą noc spędzili w kieleckim hotelu.

– To już trochę za wiele! Skąd o tym wiecie?

– Informacje otrzymałem od kieleckiej MO.

– To wszystko?

– Z Firlejówną nie udało mi się dziś widzieć. Ale ma się zgłosić tutaj – porucznik spojrzał na zegarek – tak, wkrótce powinna tu być. Czy mogę zostać przy tej rozmowie?

– Dobrze. Chociaż nie sędzę, aby była ciekawa.

– Nie wiadomo. Może i ona była...

– ... w Kielcach? – roześmiał się Gorzyk. – Wygląda na to, że trzeba by aresztować całe to towarzystwo!

– A wypuścić Zylberta i Boreckiego. Bo przecież oni na pewno w Kielcach nie byli – porucznik Moczulski również był trochę rozbawiony. Zaraz Jednak spoważniał. – Rzeczywiście płacze się to wszystko jak diabli!

Firlejówna zjawiła się punktualnie. Jak zawsze pełna elegancji, graniczącej z dyskretną kokieterią.

– Ostatniej soboty i niedzieli była pani w Kielcach? – rozpoczął przesłuchanie Gorzyk.

– Tak, mówiłam o tym porucznikowi Karwaniowi.

– Czy ma pani w Kielcach rodzinę?

– Nie.

– Znajomych?

– Oczywiście. Sporo jeżdżę i wszędzie zawieram jakieś znajomości. O kogo panu chodzi?

– W Kielcach mieszka pewna stara kobieta. Nazywa się Helena Robelkowa. Zna ją pani?

– Robelkowa? Nie, nie przypominam sobie takiego nazwiska.

– Jest pani tego pewna?

– Najzupełniej. Chociaż... – Zawahała się – nie, na pewno nie.

– Gdzie pani spędziła wczorajszy wieczór?

Firlejówna spojrzała na Gorzyka. Na Jej policzkach wykwitł duży rumieniec, który stopniowo zaczął obejmować uszy i szyję.

– Byłam w domu. Musiałam na dzisiaj napisać artykuł dla mojej gazety. Siedziałam nad nim do późna – mówiła szybko.



– U nas praca przychodzi falami, jak to w redakcji. Dziś może być niemal wolny dzień, a nazajutrz trzeba siedzieć nawet w nocy. Już tak, niestety, jest...

– A jak pani ta praca poszła? Zdażyła pani skończyć? – wtrącił się Moczulski z przyjaznym uśmiechem.

– Tak... To znaczy...

Moczulski pochylił się do ucha Gorzyka, który po chwili skinął głową. Porucznik opuścił pokój. Wrócił po trzech minutach.

– Dlaczego pani nie mówiła prawdy? – zapytał. – Właśnie przed chwilą rozmawiałem z pani naczelnym. Artykuł, nad którym ostatnio pani pracowała, oddała pani wczoraj i na dzisiaj nie miała pani nic do przygotowania. Co pani robiła wczoraj wieczorem? – głos jego zabrzmiał ostro i nieprzyjemnie. – Dokąd pani wyjeżdżała?

Gorzyk patrzył na Moczulskiego z dezaprobatą.

– Nigdzie nie wyjeżdżałam. Powtarzam, że przez cały wieczór siedziałam w domu – równie ostro odpowiedziała Firlejówna. – Ostatecznie nie muszę panom zdawać relacji co robię po kolei w swoich czterech ścianach!

– Może się pani spotkała z kimś wczoraj wieczorem? Może ktoś u pani był z wizytą? – milczący w ciągu ostatnich minut Gorzyk starał się łagodnym brzmieniem głosu zatrzeć przykre wrażenie sprzed chwili.

– Nie. Z nikim!

– Na dzisiaj dziękujemy pani. A w przyszłości proszę nie stosować tak naiwnych kłamstw. Szczególnie, gdy nie jest to potrzebne.

– Dlaczego mi przerwaliście? – wyraźnym wyrzutem zapytał Moczulski, gdy tylko drzwi zamknęły się za Firlejówną.

– To przecież nie miało sensu. Przypadek, że niektórzy znajomi Jałonia byli w dniu zabójstwa Robelkowej w Kielcach nie był chyba dostatecznym powodem, aby przypuszczać, że była tam również Firlejówna.

– A jednak...

– A jednak to nie miało większego sensu – uciął Gorzyk.

– Możliwe. Chciałbym jeszcze dodać pewien szczegół, który może jest nie bez znaczenia. Mianowicie Wężecki spo-



tkął się w Kielcach z jeszcze jedną znajomą Jałonia sprzed wojny, z którą dotąd jeszcze nie zetknęliśmy się. Niejaka Sylwia Norkstein, obywatelka francuska pochodzenia polskiego, przebywająca obecnie w Polsce jako turystka. Należała do tej samej śmietanki studenckiej, którą się obecnie zajmujemy.

– To coś zupełnie nowego.

– Jeszcze nie skończyłem. Sylwia Norkstein przyleciała do Polski razem z Jałoniem.

– Gdzie ona jest teraz? – zainteresował się Gorzyk.

– Wężecki twierdził, że miała zamiar jutro przyjechać do Warszawy, a stąd ruszyć w dalszą podróż po Polsce. Jeździ samochodem z jakimś Polakiem, Andrzejem Koleckim, który od dwu lat siedzi we Francji i podobno znowu ma zamiar tam wrócić.

– Ta Sylwia Norkstein jest mężatką?

– Tak. Jej mąż to jeden z „rekinów finansjery”

– Grubo starszy od niej?

– Opieram się tylko na tym, co mówił Wężecki. A więc podobno mógłby być na pewno jej ojcem. Czy dziadkiem – nie wiadomo.

– To ładne. Zarówno tego Koleckiego jak i Norkstein ściągniecie do mnie, gdy tylko to będzie możliwe.

– Oczywiście. Miałem ten zamiar.

– Dziękuję wam. To chyba będzie na razie wszystko.

XIII

– Sylwia Norkstein – usłyszał Gorzyk w słuchawce telefonicznej, a po chwili w pokoju rozległ się stukot eleganckich kozaczków. Uniósł głowę znad papierów. Szykowna, smukła sylwetka, długie, szczupłe nogi, twarz o nieco ostrych, lecz pięknych rysach. Kobieta podeszła do biurka i nie czekając na zaproszenie, usiadła na krześle, odchylając poły płaszcza.

– Dowiedziałam się w ambasadzie, że mam się stawić u panów. O co chodzi? Wydawało mi się, że wszystkie formalności paszportowe mam załatwione we właściwy sposób.

– Oczywiście. Nie mamy pod tym względem do pani żadnych zastrzeżeń.

– Pod tym względem nie? A pod jakim? – zapytała z nieukrywaną ironią.



– Właśnie mam zamiar pani wszystko wyjaśnić. Pod warunkiem – dodał prędko, widząc, że pani Norkstein chce coś powiedzieć – że nie będzie mi pani przerywała...

Sylwia Norkstein w milczeniu zapaliła papierosa.

– Bardzo mi przykro, że jest pani tak... – Gorzyk przez moment szukał właściwego słowa – sarkastycznie ustosunkowana do instytucji, którą reprezentuję. Nie sądzę, aby miała pani po temu jakieś powody.

– To chyba nie ma nic do rzeczy?

– Do jakiej rzeczy? – zapytał z uśmiechem.

– Do sprawy, dla której mnie pan wezwał...

– Zaprosił, proszę pani. Ale być może ma. Jak się pani podoba Polska po tylu latach?

Sylwia spojrzała na Gorzyka podejrzliwie.

– Ach nie, nie mam zamiaru wyciągać z pani zeznań na ten temat. Po prostu rzeczywiście interesuje mnie jak też ta nasza ojczyzna wygląda w oczach ludzi, którzy stracili z nią kontakt jeszcze przed wojną.

– Jestem tu zbyt krótko, aby wydawać jakieś ogólniejsze sądy – odparła powściągliwie. – Ale muszę przyznać, że pierwsze wrażenia są raczej korzystne. W każdym razie dużo lepsze niż się spodziewałam.

– Jest pani zadowolona z pobytu?

– Dotychczas tak! – Zaakcentowała słowo „dotychczas”.

– Towarzystwo ma pani miłe?

– Tak. Na towarzystwo nie narzekam – mówiła powoli, nie spuszczać oczu z twarzy Gorzyka.

– Od męża żadnych wiadomości pani jeszcze nie miała?

– Nie. I nie przewiduję ich prędko. Mój mąż nie bardzo wie, gdzie w danej chwili przebywam. Nie tak jak...

– ... Jak my, prawda? A tutaj w Polsce, jak wypadło spotkanie z pani przyjaciółmi? Żyją? Zdrowi?

– Oczywiście nie wszyscy żyją, a ci, z którymi się wdziałam, potrafili znaleźć swoje miejsce w obecnej rzeczywistości.

– Kogo ze znajomych sprzed wojny spotkała pani w Polsce?

– Gustawa Perlika, Teresę Sosicką, Bolesława Wężeckiego, swoich kuzynów. Czy o nich panu chodzi?



– Pani rodzinę na razie zostawmy. Ale chciałbym pomóc pani pamięci...

– Nie rozumiem.

– Przecież w Polsce spotkała pani takie Janusza Jałonia.

– Och! – Sylwia mówiła ze sztuczną lekkością, bagatelizując uwagę Gorzyka. – Jałonia spotkałam w samolocie, nie w Polsce, a zresztą on przecież mieszkał we Francji.

– I jak mu się tam powodziło?

– Skądże ja mogę wiedzieć. Nie utrzymywałam z nim bliższych kontaktów, a właściwie – poprawiła się – nie utrzymywałam z nim żadnych kontaktów – podkreśliła słowo „żadnych”.

– Gdzie pracował?

– Nie wiem.

– Pracował w wytwórni filmowej jako archiwista. Jak pani widzi i ja mogę udzielić pewnych informacji. Musiało mu się nieźle powodzić, skoro zdecydował się na wycieczkę do Polski i przyjechał tu z większą ilością gotówki. Może więc pani, mimo że nie utrzymywała z nim kontaktów, pomoże nam w naszych rozmyśleniach nad źródłami dochodów Jałonia.

– Nic na ten temat nie wiem.

– Taak? – Gorzyk bawił się długopisem. – Niech pani mi powie, dlaczego chciała pani ukryć przede mną fakt spotkania Jałonia?

– Wcale nie zamierzałam tego ukrywać. Nie przypuszczałam w ogóle, że może panu o niego chodzić...

– Niechże pani nie udaje. Czy o jego śmierci także nic pani nie wie?

– Wiem. Rozmawiałam w niedzielę telefonicznie z Perlikiem i on mi powiedział o śmierci tego łobuza... – natychmiast zorientowała się, że powiedziała za wiele i po raz pierwszy nie wytrzymała spojrzenia Gorzyka spuszczać oczy.

– No widzi pani. To jednak bardzo interesujące, co pani mówi. Czy wolno wiedzieć, dlaczego nazwała pani Jałonia łobuzem?

– Nie lubiłam go jeszcze przed wojną.

– Nieprawda. Stanowiliście zgraną paczkę i Jałoni należał w niej do osób najbardziej lubianych. Zresztą nawet gdyby



miała pani wówczas z nim jakieś scysje, to chyba, nie utrzymując z nim kontaktów we Francji nie pamiętałaby pani o nich do dzisiaj. Nie mówiąc już o takim drobiazgu, jak radość pani z powodu jego śmierci.

– Radość? Na jakiej podstawie pan to mówi?

– Na podstawie znajomości ludzi. Pani go nienawidziła, pani Norkstein. Jego śmierć była dla pani najważniejszym momentem z dotychczasowego pobytu w Polsce. Radosnym zdarzeniem. A więc krótko mówiąc: jakie kontakty łączyły panią z Jałoniem w Paryżu?

– Nie łączyły mnie z Jałoniem żadne kontakty, już to panu mówiłam. I więcej nie powiem na ten temat ani słowa. A swoją znajomość ludzi może pan zachować na inne okazje.

– Jeszcze jedno pytanie, pani Norkstein. Kiedy zamierza pani wracać do Francji?

– Mniej więcej za trzy tygodnie.

– To bardzo dobrze.

– Dlaczego?

– Bo do tego czasu sprawa Jałonia z pewnością zostanie wyjaśniona. A domyśla się pani, że zanim to nastąpi nie zezwolimy na pani wyjazd do Francji. Będziemy chcieli osobiście poinformować panią o wynikach śledztwa.

– Jestem obywatelką francuską!

– Wiemy o tym i nie będziemy pani zatrzymywać dłużej niż to będzie konieczne. A może pani jednak zechce nam pomóc i powiedzieć coś bliższego na temat Jałonia? Wszystko, co pani wie.

– Mówiłam już! Nic nie wiem i nie powiem!

– Wiemy, że jest pani żoną bogatego przemysłowca i że swoje wakacje spędza pani w Polsce w towarzystwie naszego miłego rodaka...

– Czy szantaż należy do metod tutejszej policji?

– Przede wszystkim milicji, nie policji, a poza tym zrozumiała mnie pani zupełnie niewłaściwie. Wspomniałem o tym, aby pani udokumentować, że może sobie pani jeździć po Polsce z kim się pani podoba i że to nikogo nic nie obchodzi. Podobnie nic nas nie obchodzą pani sprawy osobiste w Paryżu. Chodzi tylko o to, że musimy zdobyć maksimum informa-



cji o Jałoniu, które pomogą nam wykryć jego zabójcę. Więc jak? Niech się pani jeszcze zastanowi.

– Powiedziałam wszystko.

– Trudno. Ale sądzę, że po przemyśleniu całej sprawy zechce się pani jeszcze ze mną widzieć. Będę na panią czekał.

W pięć minut po wyjściu Sylwii Norkstein przy biurku Gorzyka usiadł Andrzej Kolecki.

– O ile nam wiadomo od czasu przyjazdu pani Norkstein do Polski przebywa pan stale w jej towarzystwie...

– No...

– Tak, tak, rozumiem, Pani Norkstein jest pana znajomą z Francji i stara się pan urozmaicić jej pobyt w Polsce. To zrozumiałe. Co państwo robili ostatniej soboty?

– Byliśmy w Teatrze Narodowym – odpowiedź była tak natychmiastowa, że Gorzyk nie umiał skryć uśmiechu.

– A może ma pan jeszcze bilety z tego spektaklu?

– A wie pan, że to prawdopodobne. Chyba ich nie wyrzuciłem – zaczął szukać po kieszeniach i rzeczywiście po chwili wyjął z jednej z nich dwa kolorowe papierki.

– Byłem tego niemal pewny, panie Kolecki. To bardzo dobrze, że pan kompletuje bilety z oglądanych spektakli. Bardzo lubię wszelkiego rodzaju zbieractwo i muszę przyznać, że obrał pan bardzo nietypową dziedzinę...

– Ależ ja... ja nie zbieram biletów. Po prostu zapomniałem je wyrzucić...

– Proszę mi je pokazać – Gorzyk oglądał bilety nie przestając się uśmiechać. – Przed chwilą musiałem pewnej bardzo miłej osobie pomagać w przypomnieniu sobie pewnych niedawnych wydarzeń, które dziwnie łatwo zapomniała. Panu z kolei przypomnę historię tych biletów. Nie zostały one przez pana pozostawione w kieszeni przez zapomnienie. Przeciwnie, po zgnieceniu wyprostował je pan starannie, by lepiej się przechowały i umieścił je pan w jakiejś książce albo kartonie. Na przykład w dowodzie osobistym. Dopiero idąc do mnie przełożył je pan do kieszeni spodni Zgadza się?

– Zupełnie pana nie rozumiem. Te bilety naprawdę przypadkowo zostały w kieszeni.



– Możemy przysiąc, że tak było. To nieważne. Kiedy państwo wyjechali z Warszawy?

– We wtorek wieczorem. Pojechaliśmy najpierw do Krakowa, a potem wracając do Warszawy zatrzymaliśmy się na Kielecczyźnie. Czy ma pan zamiar wypowiadać mnie ze wszystkiego, co robiłem w ostatnim okresie?

– Przydałoby się, ale nie wiem, czy mi się to uda. – Gorzyk zdawał się nie dostrzegać agresywności Koleckiego. – Co panu jest wiadome na temat kontaktów pani Sylwii Norkstein z Januszem Jałoniem?

– Byli kolegami sprzed wojny – Kolecki odpowiedział szybko i Gorzyk odniósł wrażenie, że było to pytanie od dawna oczekiwane.

– A we Francji? Jak często się widywali?

– Nic mi na ten temat nie wiadomo – recytował płynnie, jak wyuczoną lekcję. – A zresztą niech pan o to zapyta panią Norkstein. To są jej sprawy, które mnie nie dotyczą w najmniejszym stopniu.

– No, dotyczą o tyle, że pan wie o tych „jej sprawach”. Co pan sądzi o śmierci Jałonia?

Pytanie to nieco zdezorientowało Koleckiego, ale starał się nie stracić gruntu pod nogami i nadal odpowiadał tym samym ostrym tonem:

– A cóż ja tu mam do sądenia. Zwykły mord rabunkowy.

– Na jakiej podstawie sądzi pan, że Jałoń był człowiekiem zamożnym? Chyba pani Norkstein mówiła panu, że był zwykłym archiwistą?

– Nie wiem dlaczego przyszło mi to do głowy, ale chyba dlatego, że nie widzą żadnej innej przyczyny tego zabójstwa.

– Pan ciągle nie chce rozmawiać ze mną szczerze. Pani Norkstein na przykład wyraziła zadowolenie z powodu śmierci Jałonia...

– Powiedziała panu, że się ucieszyła?

– Nie w tak bezpośredniej formie. Ale jej zachowanie było jednoznaczne. Czy pan mógłby mi wyjaśnić przyczynę takiego stosunku pani Norkstein do Jałonia?

– Nie wiem. Już raz panu mówiłem, że mnie te sprawy nic a nic nie obchodzą. Nie siedzą w duszy pani Norkstein i nie



wiem czy, jak pan twierdzi, cieszyła się z tej zbrodni, a jeżeli tak, to dlaczego. I nie wiem, co pan chce osiągnąć swoimi pytaniami. W każdym razie wydaje mi się, że za dużo wymaga pan ode mnie.

– To się okaże. Mam nadzieję, że dojdziemy do porozumienia. A przyznam się, że teraz chciałbym poznać nie tylko kulisy kontaktów Jałonia z panią Norkstein, ale także przyczyny, dla których pan nie chce na ten temat nic powiedzieć.

Gorzyk powoli przeglądał leżące przed nim dokumenty.

– Pan przebywa obecnie na stypendium we Francji. O ile mi wiadomo wybiera się pan niedługo do Paryża na dalsze dwa lata?

– Tak. Wyjeżdżam za miesiąc.

– No tak... Wypada mi życzyć panu szczęśliwej podróży – Kolecki żywo podniósł się z krzesła z wyraźną ulgą.

– ...tylko że pański wyjazd będzie musiał być najprawdopodobniej znacznie spóźniony...

– Jak to? Dlaczego? Do Paryża nie mogę się spóźnić ani o jeden dzień! Rozpocząłem tam poważne prace badawcze i jestem związany bardzo rygorystycznymi terminami...

– Nie dał mi pan dokończyć zdania. Pański wyjazd będzie spóźniony tylko wówczas, jeżeli nie przestanie pan być osobą tyleż dyskretną, co tajemniczą. Musimy wyświetlić sprawę Janusza Jałonia, a pan...

Kolecki usiadł z powrotem na krzesło.

– Co ja?

– Pan wie o nim różne interesujące meczy, którymi nie chce się z nami podzielić. Zapewniam pana, że potrafimy być dyskretni. I żadne sprawy prywatne, jeżeli to będzie możliwe, nie wyciekną poza ten gmach. No więc?... Co pan wie o Jałoniu? Niech pan nie będzie niemądry. Sobie sprawia pan kłopot, a nam utrudnia pracę. No, widzę, że się pan zdecydował – uśmiechnął się zachęcająco widząc, że Kolecki podniósł opuszczoną dotąd głowę.

– Dobrze. Ale liczę na pana słowo. Nie chciałbym, aby z powodu tego, co powiem, pani Norkstein miała jakiegokolwiek kłopoty.



- Oczywiście, oczywiście.
- I ona nie może się dowiedzieć o moim zeznaniu.
- To zrozumiałe – gorąco zapewniał Gorzyk.
- A więc sprawa jest zupełnie prosta. Od dwu lat jestem związany z panią Norkstein, która z różnych względów nie może zdecydować się na rozwód. Nasz związek udało nam się dotychczas na terenie Francji zachować w zupełnej tajemnicy. I tylko Jałoń... Jałoń dowiedział się o tej historii...
 - Przypadkiem?
 - Raczej nie. Przez dłuższy czas nas obserwował, a zorientowawszy się, że pani Norkstein za wszelką cenę nie chce dopuścić do tego, aby wiadomość o tym dotarła do jej męża, wysunął pod jej adresem bardzo poważne żądania...
 - A więc szantaż?
 - Tak. Mąż Sylwii jest, jak panu zapewne wiadomo, człowiekiem niezwykle zamożnym. Dla niej pieniądze także nie stanowią właściwie większego problemu... O tym Jałoń wiedział bardzo dobrze. Reasumując: od prawie dwu lat pani Norkstein płaciła Jałoniowi comiesięczny haracz...
 - I stąd pan wiedział, że Jałoń jest... to znaczy był człowiekiem zamożnym. Tak, to jasne... No, a dlaczego tak pieczołowicie przechowywał pan te bilety teatralne?
 - Gdy dowiedzieliśmy się s Sylwią, że Jałoń został zamordowany uważaliśmy, że w naszej sytuacji lepiej jest mieć alibi.
 - Rozumowanie bardzo słuszne. Czy widział państwa w teatrze ktoś ze znajomych?
 - Raczej nie. Nie, na pewno nie...
 - Alibi nie jest więc najlepsze.
 - Jak to? – Kolecki był przestraszony.
 - Bilety bardzo łatwo można zdobyć... No, zostawmy to na razie.
 - Mam nadzieję, że zaplątanie pani Norkstein w sprawę Jałonia nie nabierze rozgłosu. To byłoby ze zrozumiałych względów bardzo dla niej przykre.
 - Może pan być zupełnie spokojny – odparł Gorzyk, lecz zapewnienie to nie wypadło już tak spontanicznie i szczerze, jak przed paroma minutami. Nie uszło to uwadze Koleckiego, który z niepokojem patrzył w twarz Gorzykowi.



- Obiecał mi pan przecież...
- Wie pan co? Niech pan spróbuje namówić panią Norkstein do złożenia mi wizyty i opowiedzenia wszystkiego, co wie o Jałoni. To by bardzo uprościło sytuację.
 - Postaram się – z zapalem zapewnił Kolecki i mocno ścisnął dłoń kapitana. – Mam nadzieję, że teraz już nie będzie kłopotów z moim wyjazdem?
 - Jestem tego samego zdania – odpowiedział Gorzyk, ale wcale nie był tego tak bardzo pewny.

XIV

- Proszę, siadajcie – pułkownik Kaleta wskazał Gorzykowi jeden z foteli w swoim gabinecie. Sam zajął sąsiedni. – Poprosiłem was, żeby usłyszeć, jak wygląda sprawa Karwania. Jak wiecie bardzo się nią interesują w Komendzie Głównej.
 - Wiem o tym... – cicho odparł Gorzyk. – Na razie nie bardzo jest się czym pochwalić. Chociaż, kto wie? Nagromadziło się sporo materiału i może wkrótce coś z tego wyniknie. Jeżeli oczywiście jesteśmy w ogóle na dobrej drodze.
 - Macie co do tego wątpliwości?
 - Chwilami tak. Chwilami obawiam się, że szukamy nie tam, gdzie trzeba.
 - Niemożliwe, Karwań był z pewnością bardzo bliski rozwiązania zagadki już po trzech dniach.
 - Czy mam przez to rozumieć, że ja...
 - Nie bądźcie tacy drażliwi. Na razie niczego wam przecież nie zarzucam. A tym bardziej nieudolności. Po prostu stwierdzam, że Karwań był u celu po trzydniowym śledztwie, obracając się, jak wynika z jego sprawozdań, jedynie w gronie przyjaciół Jałonia. I sądzę, że w tym tylko kręgu należy szukać klucza.
 - Przecież właśnie przyjąłem tę tezę. Ale jednocześnie liczę się z tym, że rozwiązanie może być zupełnie inne niż się spodziewamy.
 - Jakże wobec tego są wasze przypuszczenia na dziś?
 - Wszystkie protokoły przesłuchań wam przekazałem, więc nie będę ich powtarzał. Obecnie rysują mi się dwa warianty rozwiązania. Niestety nie w formie ostatecznej. Jeden, to ten,



w którym mordercą Jałonia jest Szyrg. Według tej koncepcji Karwania zabiła Kelerówna, zorientowawszy się, że porucznik rozporządza poważnymi dowodami obciążającymi Szyrga.

– To jedna wersja. A druga?

– Druga to Sylwia Norkstein.

– Czyżby? – sceptycznie mruknął Kaleta.

– Ona miała bardzo istotny powód do sprzątnięcia Jałonia – bronił swojej koncepcji Gorzyk. – Gdyby jej romans z Koleckim się wydał, to uciekłby jej sprzed nosa piękny majątek męża. To człowiek stary i chyba pani Norkstein bardzo poważnie liczy się z jego niedaleką śmiercią. Nie wiemy, jak tam jest z jego zdrowiem, ale pani Norkstein na pewno zna te sprawy dokładnie i uważnie przeanalizowała wszystkie „za” i „przeciw” zanim zdecydowała się na swój potajemny związek z Koleckim.

– Ta decyzja chyba nie była najtrudniejsza...

– Tak, źle powiedziałem. Zanim zdecydowała się na utrzymywanie w tajemnicy swego związku z Koleckim. Dama ta z pewnością byłaby niezłe zabezpieczona materialnie nawet po rozwodzie ze swoim mężem. W jej wieku taka miłość do młodszego od siebie mężczyzny bywa silna i nie zwracająca uwagi na konwenanse, ona jednak czeka. Tylko...

– Tylko dlaczego Kolecki powiedział wam o tym szantażu; czy tak? Dla mnie też to jest bardzo niejasne. Czyżby tak szybko i łatwo przestraszył się, że nie dopuścimy do jego wyjazdu?

– Nie, nie o to chodzi. O wiele istotniejszy jest fakt, że w notatkach Karwania ani razu nie występuje nazwisko Norkstein czy Kolecki. A przecież prawdziwy trop nie mógł spaść Karwaniowi z nieba...

– Tak to prawda! Na razie odrzucmy tę parę. Tym bardziej, że zabijanie Jałonia w Polsce byłoby ze strony pani Norkstein raczej nierozsądnym posunięciem. Do tego przyleciała z nim razem. Nie, to nonsens! O wiele prościej mogła to załatwić w Paryżu. Innych rozwiązań nie dostrzegacie?

– Z dotychczas uzyskanych informacji wynika, że również Borecki i Zylbert mogliby mieć istotne przyczyny, aby pozbyć się Jałonia, ale właśnie dzisiaj kazałem ich zwolnić.

– Nie rozumiem was! Dlaczego?



– Nie pasają mi do dalszej części scenariusza. Siedząc w areszcie nie mogli zabić Robelkowej.

– Ach właśnie, ta Robelkowa! Co o niej wiecie?

– Jestem już prawie zupełnie pewny, że jej śmierć jest związana z poprzednimi zabójstwami.

– Skąd ta pewność?

– W mieszkaniu zamordowanej znaleziono wycinek z gazety dotyczący Jałonia...

– O tym wiem – przerwał pułkownik ze zniecierpliwieniem.

– ... a poza tym dysponujemy w tej chwili bliższymi informacjami o Robelkowej.

– Słucham...

– Robelkowie przed wojną mieszkali w Warszawie, byli gospodarzami Janusza Jałonia, który wynajmował u nich pokój, stosunki między nimi układały się prawie rodzinnie. Jałoni był traktowany przez Robelków niemal jak syn i mieszkał u nich aż do wybuchu wojny.

– Skąd o tym wiecie?

– Od Bożeny Firlej, która przypomniała sobie to wszystko i sama zgłosiła się do Komendy z informacjami.

– Czy macie jakieś dane dotyczące ewentualnych kontaktów Robelkowej z kimś z naszego miłego grona?

– Nie.

– Trzeba położyć na to większy nacisk. Może jakaś korespondencja. Może sąsiadki przypomną sobie wizyty nieznajomych osób u Robelkowej... Jeżeli takie były, to z pewnością musiały być przedmiotem jakichś plotek.

– Jestem w stałym kontakcie z komendą kielecką. Donoszą mi o wszystkim, ale na razie niczego takiego nie odkryli. Ale uczulę, ich na tym punkcie.

– Dobrze, jedźmy dalej. Firlejówna?

– Chyba nie traktujecie poważnie jej młodzieńczych postanowień zabicia Jałonia przy pierwszej okazji! To kobieta zrównoważona, nie mająca nic wspólnego z egzaltacją. Nie, musiałaby być typem wysoce patologicznym, aby kierując się podobnymi pobudkami popełnić zbrodnię. Po tylu latach! Firlejównę zdecydowanie wyłączyłem z kręgu podejrzanych.

– A reszta znajomych Jałonia?



– Pozostaje pisarz Gustaw Perlik, aktor Wężecki oraz doktor Sosicka, a właściwie Sosicka z mężem. Przy każdym z tych nazwisk motywy zabójstwa byłyby zupełnie niezrozumiałe.

– Motywy, motywy... Początkowo nikt z tej całej paczki nie miał na pozór motywów, a teraz okazuje się, że mają je prawie wszyscy. Nie widzę powodów, dla których nie zajmujecie się bliżej tymi osobami!

– Owszem, zajmowałem się nimi również. Sprawdziłem na przykład, o ile to tylko było możliwe, ich alibi w dniach, kiedy zamordowano Jałonia, Karwania oraz Kobelkową.

– No i?

– W czasie, gdy mordowano Jałonia, Perlik był w domu pod opieką pielęgniarki, która zgodnie z poleceniem doktor Sosickiej, nie odstępowała go ani na chwilę. Wężecki miał spektakl w teatrze, a Firlejówna w sobotę i niedzielę była w Kielcach. Sosiccy spędzili sobotni wieczór w kinie. Trzy pierwsze alibi są pewne i sprawdzone, co do czwartego niestety głowy dać nie mogę, gdyż Sosiccy nie spotkali w kinie nikogo ze znajomych.

– A sytuacja w nocy gdy zamordowano Karwania?

– Szyrg w areszcie, A więc pewniak. Kelerówna niejasna. Wszystko wskazuje na to, że wieczór spędziła w kinie, a następnie w restauracji. Trudno tylko ustalić, o której wyszła z tej knajpy. W każdym razie jej wujek, Perlik, nie wie o której wróciła do domu, ale najprawdopodobniej po dwunastej. Sam Perlik niepewny. Twierdzi, że przez cały wieczór pracował w domu. Wężecki miał wolny dzień w teatrze i po spotkaniu w SFATiF-ie z Perlikiem oraz Firlejówną został tam do wieczora. Kelnerki nie pamiętają, do której. Pamiętają natomiast, że był nieco wstawiony...

– No myślę, po tylogodzinnym posiedzeniu!...

– Sosicka miała dyżur w szpitalu. Jej mąż siedział w domu i grał z kolegami w brydża. Sprawdzone.

– No i wreszcie dzień, w którym zabito Robelkową?

– Większość naszych znajomych była tego dnia w Kielcach. Pewne alibi mają tylko Zylbert i Borecki – byli jeszcze w areszcie.



– Jakie można zrobić podsumowanie?

– Żadna z tych osób nie ma murowanego alibi na wszystkie trzy wieczory, kiedy popełniano morderstwa. Ale te* każdy z podejrzanych ma pewne alibi na przynajmniej jeden z tych wieczorów.

– Z tego wynika, kapitanie, że z raportem dla Komendy Głównej musimy jeszcze poczekać. Chyba, że chcecie urządzić proces poszlakowy Szyrgowi i Kelerównie. Bo jednak, logicznie rozumując, wszystkie zebrane materiały wskazują na tę parę.

– Na razie nie mam takiego zamiaru – Gorzyk udał, że nie zauważa ironii pułkownika. – Ale być może, że do tego dojdzie. Oczywiście przy waszej akceptacji.

– Przyszło mi właśnie na myśl – powiedział jeszcze Kaleta – że dobrze zrobiliście wypuszczając Zylberta i Boreckiego. W śledztwie niewiele byście jeszcze z nich wyciągnęli, a na wolności – jeżeli rzeczywiście mają coś wspólnego z tą sprawą – mogą popełnić jakiś kompromitujący krok. Tylko trzeba ich mieć pod troskliwą opieką. Nie tak, jak Szyrga!

– Kapitanie Gorzyk – zatrzymała go sekretarka, gdy wchodził do swego pokoju. – Jest paczka dla porucznika Karwania.

– Dla porucznika Karwania? Od kogo?

– Z Warszawy. Nadawcą jest jakiś lekarz. Chciałam ją odesłać do żony Karwania, ale potem sobie pomyślałam że to na pewno nie jest prywatna przesyłka i zatrzymałam ją.

– Oczywiście, oczywiście. Bardzo dobrze pani zrobiła. Proszę mi przynieść tę paczkę.

Nazwisko nadawcy nie było Gorzykowi obce. Był nim doktor medycyny, dyrektor jednego z warszawskich szpitali. Zdziwił się natomiast niepomiarowo, gdy stwierdził, że przesyłkę stanowi podręcznik toksykologii. Do książki dołączony był krótki list.

– „Szczerze raduję się, gdy widzę – pisał lekarz – że nawet laików może zainteresować i pasjonować medycyna. Podczas naszej krótkiej wtorkowej rozmowy nie zdążyłem nawet w skrócie naświetlić zagadnień, które pana zainteresowały. Mając nadzieję, że może to być panu przydatne, pozwalam sobie przesłać tę



książkę, zakreślając w spisie treści te partie zawartego w niej materiału, które rozwijają temat naszej rozmowy. P.S. W najbliższym czasie książka ta nie będzie mi potrzebna.”

Gorzyk zaczął pobieżnie przeglądać nakreślone ołówkiem rozdziały. Nie mógł jednak powiązać ich treści ze sprawą, która od kilku dni absorbowwała wszystkie jego myśli.

– Wtorek... To była jedna z ostatnich rozmów, jakie Karwań przeprowadził przed śmiercią. Musiał z tym lekarzem rozmawiać tylko i wyłącznie na tematy związane ze śledztwem. To niemal pewne.

Nakręcił numer szpitala prosząc a połączenie z dyrektorem.

– Doktor jest teraz zajęty – ton głosu wyraźnie dawał do zrozumienia, że po tej informacji należy rozmowę zakończyć.

– Chwileczkę, proszę pani. Mówię z Komendy Stołecznej MO. Muszę się widzieć z doktorem i to jak najszybciej. Proszę mnie z nim połączyć, gdy to tylko będzie możliwe. Czekam. – podał numer swego telefonu i odłożył słuchawkę.

Wstał zza biurka i długimi krokami przechadzał się po pokoju. Niewielkie jego rozmiary pozwalały na zrobienie jedynie czterech kroków w jedną i czterech w drugą stronę, ale i ten skromny spacer ułatwiał Gorzykowi intensywne rozmyślenia na temat dziwnej przesyłki dla porucznika Karwania.

Zadzwoił telefon. Szybko podszedł do biurka i podniósł słuchawkę.

– Gorzyk, słucham. Ach, to wy – z wyraźnym rozczarowaniem w głosie odpowiedział porucznikowi Moczulskiemu. – Ciągle nic nowego? Trudno, musicie szperać dalej. Ostatecznie trudno uwierzyć, że nie znajdziemy nic konkretniejszego... Cieszę się, że jesteście tego samego zdania... Czy ja na coś trafiłem?

Nie jestem jeszcze pewny... nie chciałbym zapeszyć, ale wydaje mi się, że Karwań dał znać o sobie... Nie, to nie żarty. Zawsze wydawało mi się nieprawdopodobne, aby nie zostawił po sobie jakiegoś śladu... Nie, nie mogę wam teraz mówić wszystkiego, tym bardziej, że mam nadzieję być za dwie godziny o wiele mądrzejszy niż teraz. Tak, oczywiście, dam zaraz znać. Cześć.



W ciągu następnych piętnastu minut telefon milczał, po czym odezwał się powtórnie. Dzwoniono ze szpitala.

– Podobno chciał się pan ze mną skontaktować – zabrzmiał w słuchawce męski głos. – O co chodzi? Nie przypominam sobie pańskiego nazwiska.

– Dzwonię w związku z paczką, którą przesłał pan porucznikowi Karwaniowi...

– A tak, tak. Wysłałem ją wczoraj.

– Prowadzę teraz sprawę po poruczniku Karwaniu i chciałbym się z panem spotkać. Jak najprędzej.

– Jak najprędzej... Chwileczkę, muszę zajrzeć do mojego rozkładu na dziś... Dobrze. Mogę się z panem zobaczyć za godzinę, ale jedynie na dwadzieścia minut. No, maksimum pół godziny.

W godzinę później młodziutka pielęgniarzka prowadziła Gorzyka labiryntem szpitalnych korytarzy. Mijali właśnie jedną z sal, gdy dobiegł z niej znajomy kobiecy głos. Gorzyk zatrzymał się i ujrzał wychodzącą z sali doktor Sosicką w towarzystwie innego lekarza. Weszli razem do windy.

– Ooo – zdziwiła się Sosicka. – Witam pana kapitana. Służbowo czy też jako pacjent?

– Na razie służbowo. Nie wiedziałem, że pani pracuje w tym szpitalu.

– Czyżby to pana zdziwiło?

– Ach nie, skądże. Tylko nie byłem przygotowany na tak miłe spotkanie.

Winda zatrzymała się.

– Wsiadamy – pielęgniarzka otworzyła przed Gorzykiem drzwi i wskazała ławeczkę na korytarzu. Czekał około dziesięciu minut.

– Przepraszam, że pan czekał, ale rozumie pan, że trudno jest wszystko przewidzieć co do minuty – dyrektor tłumacząc się zdawkowo wprowadził Gorzyka do gabinetu. – Przesłałem porucznikowi tę książkę, gdyż sądziłem, że go zainteresuje. Nie bardzo rozumiem, w jaki sposób trafiła ona do pana?

– Porucznik Karwań nie mógł tej przesyłki odebrać, gdyż we wtorek około godziny 23 został zamordowany.



– Zamordowany?! We wtorek?’ Jeszcze wieczorem był w tym gabinecie. Niestychane! Niestychane! Wykryliście już sprawcę?

– Jeszcze nie, ale bardzo liczę na pana.

– Na mnie? Chyba pan żartuje!

– Nie żartuję. Mamy powody sądzić, że porucznik Karwań wpadł na ślad przestępcy dzięki pana pomocy.

– Wpadł na ślad przestępcy dzięki mnie? Nie rozumiem.

– Najprawdopodobniej uzyskał od pana informacje, które mu były potrzebne do rozwiązania pewnej zagadki. I dlatego został zamordowany.

– Porucznik istotnie wychodząc stąd tak mi serdecznie dziękował, jakbym mu bardzo wydatnie pomógł w jego pracy. Oczywiście nie pytałem o szczegóły, ale miałem nadzieję, że jeszcze do mnie zawita. Rozmowa z nim bardzo mnie zaintrygowała.

– Chwileczkę, panie doktorze. Musimy to wszystko omówić powoli i systematycznie. Po pierwsze, czy Karwań mówił panu o celu swojej wizyty... to jest przepraszam, o sprawie, którą prowadzi?

– O prowadzonej przez siebie sprawie nic mi nie mówił, a cel jego wizyty wydawał mi się, bardzo dziwny.

– Dlaczego?

– Porucznika Karwania interesował porządek w naszym szpitalu. Potem temat rozmowy zmieniliśmy.

– Zaraz, zaraz. Co to znaczy „porządek w szpitalu”?

– Prosił, aby mu powiedzieć, czy ktoś się w niedzielę spóźnił do pracy, czy ktoś nie przyszedł... W ogóle interesowały go, jak powiedział, zakłócenia w rytmie życia szpitalnego.

– Mam wielką prośbę, doktorze, aby się pan zechciał maksymalnie skupić i odtworzyć przebieg całej rozmowy z Karwaniem jak najdokładniej, nie pomijając żadnych, nawet najdrobniejszych szczegółów. Nawet jeśli pańskim zdaniem są one zupełnie nieistotne,

– Spróbuję...

– I jeszcze jedno. Czy podczas wizyty Karwania doktor Sosicka znajdowała się na terenie szpitala?



– Dlaczego pan o to pyta?

– No, trudno mi...

– Rozumiem, nie będę zadawał żadnych pytań. Zaraz to sprawdzę – otworzył leżącą na biurku książkę i przez chwilę ją przeglądał. – Tak, była. Miała tego wieczoru dyżur.

Gorzyk rozejrzał się uważnie po gabinecie i podszedł do dużych drzwi obitych wołokiem. Uchylił je i zaniknął z powrotem. Dyrektor obserwował go spod oka.

– Wprawdzie nic z tego nie rozumiem, ale pojąłem pańskie obawy. Sprawdza pan, czy mojej rozmowy z porucznikiem nie słyszał ktoś niepowołany?

– Tak.

– Z całą pewnością nie. Jak pan widzi jest tutaj bardzo dobra izolacja.

– A jeżeli drzwi nie były zamknięte?

– To jest bardzo mało prawdopodobne, abym wprowadzając porucznika do gabinetu nie zamknął za nim drzwi. Nie, to wykluczone.

– Dobrze. Wróćmy do naszej rozmowy. Jakich informacji udzielił pan Karwaniowi?

– Pokazałem mu książkę, w której są notowane wszystkie takie „szczególne” wypadki...

– Może i mnie zechce ją pan pokazać?

Kapitan przejrzał bardzo dokładnie zapiski dotyczące ostatniej niedzieli, ale nie znalazł w nich nic interesującego.

– Jak zachowywał się Karwań obejrzawszy tę książkę? Czy zainteresowała go?

– Odniosłem wrażenie, że bardzo. Oglądał ją bardzo długo, ale patrząc na niego spostrzegłem w pewnym momencie, że już wcale jej nie czyta, a tylko nad czymś się zastanawia.

– Czy pamięta pan jego pytania?

– Dosłownie nie. Ale sens pamiętam doskonale. Zresztą wokół tych spraw toczyła się cała nasza późniejsza rozmowa.

– Niech pan spróbuje mi ją jak najwierniej powtórzyć.

– A więc porucznikowi chodziło przede wszystkim... – Doktor nie dokończył, bowiem drzwi gabinetu otworzyły się gwałtownie i stanęła w nich doktor Sosicka.



– Bardzo pana przepraszam, ale stan pacjentki z dwójki w ciągu ostatniej pół godziny bardzo się pogorszył. Gdyby pan mógł...

– Tak, tak, już idę – dyrektor zerwał się energicznie – Ze chce pan poczekać, to z pewnością nie potrwa długo

Kapitan raz jeszcze otworzył przeglądany przed chwilą zeszyt. Kłął w duchu i pacjentkę, której się pogorszyło, i doktor Sosicką. Po półgodzinnym oczekiwaniu jego cierpliwość była na wyczerpaniu. Wreszcie doktor zjawił się w gabinecie. Sprawiał wrażenie człowieka niezwykle zmęczonego.

– Czekaj pan jeszcze... Przeciągnęło się, ale na szczęście niebezpieczeństwo zostało zażegnane. Taak... Pan wybaczy, zgubiłem wątek naszej rozmowy... A więc mówiliśmy?

– Zaczął pan relacjonować przebieg rozmowy z Karwaniem, który interesował się tym zeszytem – przypomniał Gorzyk.

Tym razem nikt już im nie przeszkodził. Lekarz mówił powoli, starannie dobierając słowa, aby jak najwierniej oddały treść rozmowy. Gorzyk nie zadawał żadnych pytań i tylko notował od czasu do czasu niektóre fragmenty relacji.

– ... i teraz rozumie pan chyba, dlaczego posłałem porucznikowi tę książkę. Mimo że ja sam nie pojmuję dotąd, do czego mu były potrzebne tego rodzaju wiadomości – zakończył doktor.

– I to było wszystko?

– Tak. Po tej rozmowie pożegna! się bardzo szybko i na tym zakończyło się moje jedyne spotkanie z porucznikiem Karwaniem.

– Czy pan pozwoli, że odbędę tu krótką rozmowę z jedną z osób z pańskiego personelu? To nie potrwa długo...

– Proszę bardzo. Kogo panu przysłać?

– Siostrę Drozdowską.

– Gdy w dwadzieścia minut później Gorzyk opuszczał szpital czuł się jak człowiek, który w gęstej mgłę dostrzega znajomą sylwetkę, lecz nie może sobie uprzytomnić, kto to jest. Zasłona, zakrywająca tajemnicę zabójstwa Jałonia powoli się unosiła. Jednocześnie jednak nasuwać się zaczęły liczne, zupełnie nowe pytania, na które Gorzyk nie potrafił znaleźć odpowiedzi.



– Był dalekopis do pana – powitała go sekretarka. – Z komendy w Kielcach.

– Dawaj! – Gorzyk niemal wyrwał z rąk dziewczyny arkusz papieru. Dwukrotnie odczytał krótki tekst: „stwierdzono, że Helena Robelkova uzyskała we środę dwa połączenia telefoniczne z Warszawą, telefonowała z miejscowej poczty...”

– Proszę natychmiast sprawdzić do kogo należą telefony, których numery są tutaj podane!

– Już sprawdziłam. Wiedziałam, że będzie pan tego potrzebował. Proszę, tutaj jest wszystko napisane.

– Świetnie! – Uśmiechnął się z zadowoleniem. – Okazuje się, że dobrze jest od czasu do czasu przypomnieć pani, że myślenie ma kolosalną przyszłość. Natychmiast skutkuje.

Mimo tej zgryźliwej formy sekretarka przyjęła pochwałę z nieukrywaną radością.

XVI

– Jeszcze raz ci powtarzam, że nie mam teraz pieniędzy! – Teresa Keler ze zniecierpliwieniem uderzała dłonią w telefon, akcentując w ten sposób wypowiedziane wyrazy. – Za kilka dni może by się dało coś zdobyć. Musiałabym zadepeszować do rodziców. – Przełożyła słuchawkę do drugiej ręki. – Od wujka nie mogę wziąć. Przecież mówię ci, że wyszedł i wróci dopiero wieczorem, a sam mówisz, że to będzie za późno. Och, Robert, zrezygnuj z tego motoru. No dobrze, rozumiem, że to okazja, ale zupełnie nie liczysz się z tym, że w najbliższym czasie będziesz miał poważne wydatki... Och, ty zawsze wszystko bagatelizujesz!

Milczała przez dłuższą chwilę. Wzrok jej padł na płaszcz Perlika, wiszący na wieszaku przy drzwiach. Z kieszeni wystawał pęk kluczy.

– Poczekaj chwilę – rzuciła do słuchawki i podeszła do wieszaka. Wróciła do telefonu z kluczami w ręku i powiedziała:

– Ty masz we wszystkim nieprawdopodobne szczęście. Właśnie znalazłam sposób... Przez ciebie będę miała bardzo nieprzyjemną rozmowę z wujkiem. Dobrze, dobrze, już mi nie dziękuj. Jak tylko będę coś wiedziała, to natychmiast zadzwonię... Tak, najpóźniej za piętnaście minut.



– Odłożyła słuchawkę i trzymając w ręku klucze weszła do gabinetu Perlika, Podeszła do niewielkiej kasy pancерnej, stojącej w rogu pokoju. Drzwiczki otworzyły się lekko i bez szmeru. Na górnej półce leżała niewielka kupka banknotów pięćset i stułotowych. Teresa sięgnęła po banknoty, lecz w tym momencie wzrok jej padł na dolną półkę i ze zdziwieniem spostrzegła tam książkę o znajomym tytule.

– Kasa pancerna jako biblioteka? – odruchowo odchyliła okładkę i pierwszą, pustą kartkę. Wzrok jej spoczął na skreślonej długopisem dedykacji. Wzięła książkę do ręki i jeszcze raz przeczytała krótki tekst, po czym wzruszyła ramionami i zamierzała odłożyć ją na miejsce, gdy zainteresowała ją leżąca na dnie kasy paczka, owinięta w pogniecioną gazetę.

Po chwili, siedziała w fotelu, oglądając odwinęty z gazety gruby plik pożółkłych kartek, pokrytych maszynowym pismem. Pierwsze zdania maszynopisu tak ją zafrapowały, że przez następne minuty tkwiła nieporuszona, zatopiona w lekturze.

W pół godziny później telefonowała do Szyrga.

– No, nareszcie dzwonicz – usłyszała głos Roberta. – Myślałem, że już o mnie zapomniałaś. Masz forszę?

– Mam do ciebie ważniejszą sprawę, niż te pieniądze.-

– Przecież wiesz, jak bardzo mi na nich zależy!

– Musisz zrezygnować dziś z tej transakcji!

– Myślałem, że zechcesz mi pomóc...

– Robert, ja już nie mam siły. Jeżeli nie chcesz, abym dostała jakiegóś poważnej nerwowej choroby, to postaraj się być choć przez chwilę człowiekiem poważnym. Mówię ci raz jeszcze, że mam do ciebie ważniejszą sprawę. Natychmiast przyjeżdżaj do mnie, a swemu kontrahentowi powiedz, że dziś do późna będziesz bardzo zajęty i wszelkie sprawy będziesz mógł załatwić jutro.

– Ależ jutro ten motor będzie dawno sprzedany!

– To będzie. Pytam cię po raz ostatni: przyjeżdżasz czy nie? To nie jest mój kaprys. Chodzi o sprawę, która ciebie jak najbardziej dotyczy!

W słuchawce zapanowała cisza. Teresa z trudem starała się opanować przyspieszony oddech.



– Nie możesz mi powiedzieć przez telefon, o co chodzi? – głos Szyrga był niechętny.

– Nie.

Znowu cisza. I wreszcie:

– Dobrze, zaraz u ciebie będę.

– Słuchaj, w domu nikogo nie ma. Postaraj się tak wejść, żeby nikt z sąsiadów tego nie zauważył...

– Co ty tam knujesz?

– Czekam – nie odpowiedziała na pytanie i odłożyła słuchawkę.

Popadła w odrętwienie, z którego wyrwał ją dzwonek przy drzwiach wejściowych. Przyszedł Szyrg.

– Chodź, wszystko ci opowiem! – ujęła go za rękę i nie pozwalając zdjąć płaszcza pociągnęła do swego pokoju.

Dochodziła dziesiąta, gdy Gustaw Perlik wracając z zebrania w Związku Literatów otwierał drzwi swojej willi. Powiesił na wieszaku kurtkę z wielbłądziej wełny i skierował się w stronę gabinetu. Wrócił po chwili i zaczął przeszukiwać kieszenie kurtki

– Gdzie ja je włożyłem – mruknął pod nosem. Sięgnął do kieszeni wiszącego obok płaszcza. – No, są...

Drzwi od gabinetu zamknęły się. W minutę później zapukała w nie Teresa.

– Proszę, proszę, możesz wejść! – Perlik siedział jak zwykle za swoim dużym biurkiem. Na politurowanym blacie leżała nowa, nie rozpakowana taśma do maszyny. Podniósł wzrok – Coś ty taka blada? Jesteś chora?

– Nie, nic mi nie jest... – z trudem opanowywała drżenie głosu. Usiadła naprzeciwka pisarza. – Mam do wujka wielką prośbę... – zaczęła niepewnie.

– No mów, mów, słucham. Jeżeli tylko będę mógł, to oczywiście...

– Chciałabym z wujkiem gdzieś pojechać.

– Pojechać?

– Tak. Weźmiemy wóz i...

– Teraz masz zamiar robić spacer? Przecież już po dziesiątej!

– A cóż to szkodzi? Koniecznie chcę się wybrać z wujkiem na spacer samochodem. Właśnie teraz. Dobrze? – Głos mia-



ła już zupełnie opanowany, naturalny. – Taki drobny kaprys kobiety. No?... Wujku!...

– Eee tam, kaprys kobiety, to zupełnie do ciebie niepodobne. Lepiej powiedz od razu, o co chodzi. No? Mów, bo rzeczywiście zaintrygowałaś mnie.

– Kiedy ja naprawdę nie mogę, powiedzieć.

– Dlaczego?

– To ma być niespodzianka i absolutnie nie mogę zdradzić przedwcześnie tajemnicy.

– No dobrze już, dobrze. Ostatecznie mogę pojechać. Długo to potrwa?

– Ach nie! O jedenastej będzie już po wszystkim.

– Po wszystkim?

– No tak, po całej tajemnicy, która dla wujka nie będzie już istniała. Idziemy?

– Zejdź do samochodu. Zaraz przyjdę.

Teresa usiadła za kierownicą i nastawiła radio, Po chwili Perlik wyszedł z domu i stanął przy samochodzie,

– Otwórz – powiedział do Teresy trzymając za klamkę tylnych drzwiczek.

– Proszę koło mnie, wujku. Będzie przyjemniej.

Gdy tylko Perlik zajął miejsce szara warszawa ruszyła w stronę Puławskiej.

– No, może teraz już powiesz, co to za tajemnica – zapytał.

W milczeniu pokręciła głową.

– Zdradź mi chociaż, dokąd jedziemy?

– Jak wujek widzi: ubliżamy się do MDM-u a potem pojedziemy w stronę Żoliborza – głos Teresy brzmiał ostro i obco.

Perlik zamilkł. W pewnym momencie obejrzał się za siebie.

– Co ty tam załadowałaś? – zapytał podejrzliwie wskazując na tylne siedzenie wozu, wypełnione dużym pakunkiem, przykrytym gazetami.

Teresa roześmiała się ostro i nieprzyjemnie.

– Proszę tam nie patrzeć. To część niespodzianki.

– Czy to nie za dużo na raz? Wiesz, że mam chore serce i jeżeli ta niespodzianka będzie zbyt wznuszająca, będziesz musiała odwiedzić mnie zamiast do domu to do szpitala.



– Proszę się nie niepokoić. Wszystko będzie grało jak należy.

W pewnej chwili w odległości jednego metra minęła ich druga warszawa. Nie zwrócili na nią uwagi i nie zauważyli, że jej pasażerowie bacznie zlustrowali wnętrze ich samochodu. Jednocześnie na falach eteru popłynął do Komendy MO kolejny meldunek: „powtarzam: w obserwowanej warszawie znajdują się dwie osoby – Teresa Keler oraz Gustaw Perlik. Jedziemy nadal za nimi” – diabli wiedzą po co? I tak zda się to psu na budę! Te ostatnie słowa nie dotarły już do Komendy, bowiem słuchawka radiotelefonu zawisała na widelkach.

Tymczasem Teresa spojrzała na szybkościomierz. Strzałka nie przekraczała cyfry „40”. Sięgnęła po papierosa.

– Zajmuj się lepiej kierownicą, a nie papierosem – mruknął Perlik, podając jej jednak ognia.

– Nic się nie stanie. Przecież wujek widzi, że jadę jak za pogrzebem.

Perlik wzdrygnął się.

– Cóż za określenie. Mogłabyś wzbogacić swój język.

Minęli pętlę tramwajową na Potockiej. Perlik z niepokojem spojrział na Teresę.

– Mówiłaś, że jedziemy na Żoliborz...

– Nie mówiłam, że jedziemy na Żoliborz, tylko że w stronę Żoliborza. A to chyba zasadnicza różnica.

– Więc dokąd jedziemy?

– Jedziemy podtrzymać starowarszawskie tradycje. Na Bielany! Tyle, że nie z okazji Zielonych Świąt. I pora nieco nietypowa. Ale to nic nie szkodzi. Zabawimy się doskonale!

– Wracaj! Nie mam ochoty dalej jechać! Nie podobają mi się te twoje tajemnice! Co za pomysły! Czuję, że mi serce... – chwycił Teresę kurczowo za rękę powodując skręt kierownicy.

– Czy wujek chce, żebym wpakowała się na drzewo? Jeszcze chwilę. To już niedaleko.

W świetle latarni zamajaczyły budynki przy cmentarzu żołnierzy włoskich. Teresa skręciła ostro w alejkę wiodącą na cmentarz i gwałtownie zahamowała.

– Co ty! Na cmentarz jedziemy – czoło Perlika błyszczało od potu. Nie otrzymał odpowiedzi. Teresa włączyła wsteczny



bieg i wyprowadziła samochód z powrotem na szosę w kierunku Warszawy. Podjechała wolno kilkanaście metrów.

– Tak, to tu. – Zatrzymała wóz, wysiadła i obszedłszy go naokoło otworzyła tylne drzwiczki. Perlik obserwował ją w napięciu.

– Może wujek będzie tak dobry i wysiądzie. Musi mi wujek pomóc – otworzyła drzwiczki i podała mu rękę.

– Gdzie my jesteśmy? – zapytał cicho.

Minęła ich ciężarówka, jadąca w stronę Bielan, potem tramwaj z numerem „17” i znowu zapanowała cisza, przerywana podmuchami wiatru w galeriach przydrożnych drzew.

– Naprzeciwko cmentarza włoskiego. Nie poznaje wujek?

– Nie rozumiem...

– Rozumie wujek, rozumie... No, proszę mi pomóc!

Z pakunku leżącego w tylnej części samochodu zdarła przykrywające go gazety.

– Co to jest?! – krzyknął niespodziewanie Perlik, wskazując na parciany worek, który wyłonił się spod gazet.

– To? – Teresa sama się zdziwiła słysząc swój opanowany głos. – W tym worku jest kapitan Gorzyk. No, proszę nie marudzić! Niech wujek wyciąga! I do rowu!

– Jaki Gorzyk, co ty bredzisz? – głos drżał mu jak w febrze i Teresa z trudem rozumiała co mówi.

– Szybciej, szybciej, nie ma czasu na rozmówki!

– Przecież Gorzyk... Teresko, co ty... dlaczego?...

– Nauczyłam się metody od wujka. Przecież wujek z Karwanem tak samo...

– Co?! – ostry szept Perlika rozległ się tuż nad uchem Teresy. – Skąd wiesz? Mów! Mów! – trzymał ją za ramiona i potrząsał nimi gwałtownie.

– Umieć myśleć.

– Ale dlaczego Gorzyk? Czy on też...

– No, niech wujek zrzuci ten worek do rowu!

– O Boże, uciekajmy prędko – chwycił oburącz worek i zaczął spychać go do rowu. I wtedy z worka dobyło się tłumione sapnięcie.

– Teresa! On żyje!

– Oczywiście!



– Gorzyk?

– Nie. Wyłaź Robert – rozkazała głośno – przedstawienie skończone.

Worek poruszył się gwałtownie i z jego otworu wyjrzała głowa Roberta Szyrga. W ciągu sekundy Perlik zdecydował się. Z całą siłą kopnął Szyrga w skroń raz, drugi, trzeci... Teresa krzyknęła rozpaczliwie. Doskoczył do niej i chwycił kłapy płaszcza dziewczyny przyciągając ją do siebie.

– A więc to tak?! Doigrałaś się! – poczuła cios w głowę, a dwie silne dłonie zaczęły zaciskać się na odsłoniętej szyi. Powalił ją na ziemię i przyklękawszy przyciskał do ziemi, gdy poczuł jak czyjeś ręce unoszą go w górę, a na plecy spadają ciężkie, bolesne uderzenia.

– Wstać! Milicja!

Perlik błędnym spojrzeniem ogarnął cztery stojące wokół niego postacie.

– Panowie... tam w worku... ratujcie... – rozległ się cichy głos leżącej na ziemi Teresy.

– Tych dwoje szybko na pogotowie – rozległ się głos dowódcy patrolu. – Ja z Kaczyńskim zostaję z tym ptaszkiem. Natychmiast przysłać po nas samochód!

Perlik ze skutymi rękoma stał nieruchomy, jak gdyby sprawy dziejące się wokół niego zupełnie go nie dotyczyły. Poruszył się dopiero wtedy, gdy w dziesięć minut potem rozpoznał w wysiadającym z milicyjnej warszawy oficerze kapitana Gorzyka.

– Cóż za niespodziewane spotkanie, panie Perlik – Gorzyk zbliżył się do stojącego.

– No i co? Macie mnie nareszcie! – histeryczny krzyk Perlika niósł się daleko w nocne ciemności. – Czy wiecie co robicie? Jaka bierzecie na siebie odpowiedzialność? Cóż znały te trzy marne istnienia ludzkie w porównaniu ze mną? – jego głos zginął we wnętrzu samochodu, który szybko pomknął w kierunku miasta.

XVII

– Dzwoniła pani do szpitala? Jak się czuje Kelerówna i Szyrg?



– Szyrg poleży jeszcze ze dwa dni – odpowiedziała sekretarka – ale to nic poważnego. Kelerówna jest właściwie zdrowa. Poprosiłam lekarza, żeby ją natychmiast przysłał do pana.

– Dobrze. Jak tylko przyjdzie, proszę ją zaraz wpuścić.

Czekał z niecierpliwością. Jego myśli krążyły ciągle wokół tego samego pytania: dlaczego Perlik zabił Jałonia? Nie umiał znaleźć na nie odpowiedzi.

Teresa Keler była bardzo blada, szła ostrożnie i powoli, jakby bała się, że upadnie. Ciężko usiadła na krześle.

– Czy jest pani w stanie udzielić mi teraz wyjaśnień? Przyznam, że niezwykle mi na tym zależy, ale skoro bardzo źle się pani czuje...

– Nie, nie... Wolę powiedzieć wszystko teraz. Ale przede wszystkim niech pan mi powie, czy jest już pan wreszcie przekonany o niewinności Szyrga?

– Tak, tak, oczywiście, ale porozmawiajmy systematycznie. Jak pani przyszło do głowy podejrzenie, że to Perlik zabił Jałonia i Karwania?

– I Robelkowa... – dodała słabo, a Gorzyk widząc, że bezskutecznie przerzuca drobiazgi w torebce, sięgnął po leżącą na biurku papierośnicę.

– Proszę, niech pani zapali.

– Zaczęłam podejrzewać wujka dopiero wczoraj – zaciągnęła się głęboko papierosem. – Wtedy też zaczęłam przypominać sobie niektóre zdarzenia z ostatnich dni, nad którymi dotychczas przechodziłam do porządku dziennego. Przypomina pan sobie ten dzień, kiedy przesłuchując mnie pytał pan, co robiłam we wtorek wieczorem. Nie wspomniałam wtedy o pewnym fakcie, Otóż gdy wyszłam z kina, to zanim spotkałam tych dwu kolegów, o których mówiłam panu, postanowiłam wrócić do domu. Jednak z daleka już zobaczyłam, że przed willą wujka nie stoi jego warszawa. Tego wieczoru byłam w fatalnym nastroju i perspektywa spędzenia kilku godzin w pustym domu odstraszała mnie, Wróciłam na Puławską. I dopiero wówczas spotkałam tych kolegów. Oczywiście nie przywiązywałam w ogóle wagi do tego, że wujek wjechał gdzieś samochodem. Ostatecznie nie było w tym nic dziwnego.

Przez moment zawahała się, ale ciągnęła dalej.



– Wczoraj zajrzałam do kasy, pancерnej wujka...

– Zostawił ją otwartą?

– Och nie! Nie zostawił jej otwartej... To był zbieg okoliczności. Robert miał wczoraj okazję kupienia po bardzo niskiej cenie motocykla. Ale brakowała mu pieniędzy. Trzech tysięcy. A warunkiem kupna było natychmiastowe wpłacenie całej sumy...

– I pani narzeczony zwrócił się do pani?

– Tak. Też znaczący pytał mnie, czy nie mogłabym mu pożyczyć. – Teresa była lekko zmieszana. – To zupełnie naturalne, że zwrócił się do mnie – dodała bez większego przekonania, starając się usprawiedliwić Szyrga.

– Tak. No i...

– Nie miałam tych pieniędzy. Ponieważ wujka nie było w domu, więc nie mogłam zwrócić się o pożyczkę do niego, A Robertowi ogromnie zależało na tym, żeby nie stracić tej okazji. I wtedy zauważyłam, że z płaszczu wujka, wiszącego w haflu, wystają klucze. No i postanowiłam pożyczyć sobie z kasy te pieniądze...

– Czy pani nie sądzi, że najwyższy czas, aby pani narzeczony zajął się bardziej swoją pracą, a zrezygnował z tych różnych transakcji i „okazji”? Przepraszam za dygresję i słucham dalej.

– Ma pan niewątpliwie rację. Już dawno doszłam do tego samego wniosku. Na pewno wybije mu to i głowy... – w głosie Teresy brzmiało nieukrywana rozdrażnienie. Po chwili ciągnęła dalej:

– Wzięłam więc te klucze i poszłam do gabinetu wujka. Po otwarciu kasy bardzo mnie zdziwił widok leżącej tam książki. Na ogół nie przechowuje się książek w pancерnej kasie...

– Raczej nie – mruknął Gorzyk niecierpliwie patrząc w twarz Kelerówny.

– Właśnie. Wzięłam więc tę książkę do ręki. Były to „Złamane drzewa” Gustawa Perlika, Ostatnie wydanie... Czy panu mówi coś ten tytuł?

– O ile sobie przypominam, jest to jedna z pierwszych powieści Perlika?



– Pierwsza. Napisana przed wojną, wydana zaraz po wyzwoleniu. Właśnie „Złamane drzewa” przyniosły mu w tamtych latach uznanie. I przyznam się panu, że ze wszystkich książek Perlika cenię tylko tę. Już nigdy potem nie osiągnął takiej prawdy wyrazu literackiego, takiego stopnia...

– Tak, tak – Gorzyk był zniecierpliwiony i zupełnie nie pociągała go perspektywa przeprowadzania analizy krytycznej dzieł Perlika – więc wzięła pani tę książkę i...

– Rozumiem pana zniecierpliwienie – Teresa uśmiechnęła się niewesoło – ale za chwilę pan przyzna, że nie zboczyłam z tematu. To, co powiedziałam, jest bardzo ważne. Otóż oglądając tę książkę przeczytałam dwie dziwne dedykacje... Właściwie dziwna była tylko ta druga, bo pierwsza była oklepaną formułką, którą wujek od lat stosuje.

– Dla kogo była przeznaczona ta dedykacja?

– Dla Jałonia. I nosiła datę jego śmierci. A tui pod nią była druga, napisana przez Jałonia. Może niedokładnie powtórkę jej treść, ale będzie pan mógł to sprawdzić. Ta książka nadal chyba. leży w kasie. To brzmiało mniej więcej tak: „Już pan Zamojski za podszeptem pana Zagłoby ofiarowywał Karolowi Gustawowi Niderlandy i wówczas było to uważane za świetny dowcip. Mnie widać dowcip już zupełnie opuścił, bo wiem nie widzę powodów, dla których prawdziwemu autorowi „Złamanych drzew” (jedynie tytuł jest Twój) ofiarowujesz tę książkę jako swoje dzieło. Zwracam ci ją życząc dalszych sukcesów na niwie pisarskiej. Janusz Jałoń – autor „Złamanych drzew”.

– Jałoń autorem „Złamanych drzew”? – wykrzyknął Gorzyk z niedowierzaniem i natychmiast zreflektował się, że zdradził się ze swojej niewiedzy.

– Nie od razu zorientowałam się, że o to chodzi. Dopiero gdy sięgnęłam po paczkę, która leżała pod książką, wszystko stało się dla mnie jasne... Prawie wszystko...

– Co było w tej paczce? – Gorzyk nie ukrywał niecierpliwości.

– Kopia maszynopisu „Złamanych drzew”. Tyle, że. pod innym tytułem. Autor – Janusz Jałoń... Zaczęłam porównywać maszynopis z książką. Akapit po akapicie to samo... Bez żadnych zmian... To jeszcze nie wszystko...



– Słuchani, słucham panią!

– Maszynopis był zawinięty w „Słowo Ludu”...

– To kielecki dziennik!

– Tak. I była na nim data...

– ... zamordowania Robelkowej?!

– Tak... — Teresa powiedziała to bardzo cicho i opuściła nisko głowę.

Zaległo kłopotliwe milczenie. Gorzyk zdawał sobie sprawę z dramatu, jaki przeżywa dziewczyna. Uratowała narzeczonego, a tym samym zgubiła Perlika, który – niezależnie od uczuć, jakie dla niego żywiła – był bliskim jej człowiekiem, kuzynem jej matki. Przy tym odkrycie, że człowiek ten jest mordercą, który z premedytacją uśmiercił troje ludzi, aby ratować swoją pozycję w świecie, swoje nazwisko pisarza, przede wszystkim swoje ambicje – z pewnością nie należało do łatwych przeżyć.

Patrzył bezradnie na łyzy, które coraz obficiej zaczynały spływać po policzkach Teresy. Trochę niezdarnie przysunął w jej stronę syfon z wodą sodową, nappełnił szklankę i postawił ją tuż koło jej ręki, spoczywającej na biurku. Nie podnosząc głowy szepnęła „dziękuję panu”. Wypiła wodę do dna. Potem wyjęła z torebki chusteczkę, szybko otarła oczy, zapaliła papierosa i zupełnie nieoczekiwanie opanowanym głosem wróciła do przerwanej rozmowy.

– Wszystko ułożyło mi się w logiczną całość, Wujek przestraszył się kompromitacji i zabił Jałonia. Z kolei zamordował porucznika Karwania, który najwidoczniej rozszyfrował tę sprawę, A potem, w jakiś niezrozumiały dla mnie sposób, dowiedział się, że jest jeszcze ktoś, kto zna tajemnicę.

– A nawet ma w ręku dowody... – wtrącił Gorzyk.

– Tak. Bo biedna Robelkowa miała maszynopis powieści Jałonia. Nie wiem zresztą, w jaki sposób go zdobyła.

– Robelkowa była gospodynią Jałonia przed wojną. Mieszkała u niej. Prawdopodobnie w czasie wojny opiekowała się rzeczami Jałonia i przechowywała je aż do chwili obecnej. Między innymi ten maszynopis.

– Ale skąd Perlik o tym wiedział?



– Robelkowa we wtorek telefonowała do Warszawy, Dwukrotnie. Do Związku Literatów, kiedy poprosiła o podanie jej adresu i telefonu Perlika, a potem do pani wuja. Uczyniła to na skutek przeczytania wzmianki w gazecie o zamordowaniu Jałonia, w której zamieszczono również informację, że Jałoń początkowo zatrzymał się u Perlika. Sądzę, że Robelkowa po raz pierwszy od czasów przedwojennych dowiedziała się, że Perlik żyje, że jest pisarzem i postanowiła go poinformować o maszynopisie książki Jałonia. Dalszy ciąg znamy...

– Wujek na pewno obiecał jej, że się w najbliższym czasie zjawi u niej, no i dotrzymał słowa... Dlaczego jednak nie zniszczył zabranego od Robelkowej maszynopisu?...

– Uważał, że jest poza podejrzeniami. Poza tym sądził, słusznie zresztą, że zarówno maszynopis jak i książka z dedykacjami bezpieczniejsze są w jego pancерnej kasie niż gdziekolwiek indziej.

– Nie rozumiem jeszcze jednej rzeczy. W jaki sposób mógł zamordować Jałonia, skoro miał atak serca i przez całą noc czuwała przy nim pielęgniarka?

– To proste – kapitan bagatelizował zagadkę, nad której rozwiązaniem jeszcze niedawno bezskutecznie się biedził. – Obecność siostry Drozdowskiej wykorzystał Perlik dla stworzenia sobie doskonałego alibi. Wystarczyło skorzystać z jej chwilowej nieobecności w pokoju, aby wsypać jakiś środek nasenny do herbaty, którą piła, Perlik słusznie przewidywał, że Drozdowska ze względu na swoją reputację zawodową nigdy nikomu nie wspomni o tym, że całą noc, podczas której miała czuwać przy chorym, przespała twardym snem. I nie pomylił się. Drozdowska spóźniła się następnego dnia do pracy, bardzo źle się czuła, miała mdłości i w rezultacie poszła wcześniej do domu. Wczoraj opowiedziała mi o tym, nie podejrzewając nawet, że była przez Perlika uśpiona.

– Ale przecież doktor Sosicka uznała Perlika za rzeczywiście poważnie chorego?...

– Z sercem Perlika nie było i nie jest najlepiej. Inna sprawa, że wówczas musiał symulować. A zapewniam panią, że każde z nas potrafiłoby, nawet przy pomocy tak prostego środka jak kofeina, zasugerować interniście chorobę serca.



Tym bardziej, gdybyśmy już poprzednio mieli z nim kłopoty. Każdy lekarz będzie się wówczas asekurować stosując dostępne mu środki zapobiegawcze.

– Tak, na to wszystko nigdy bym nie wpadła...

– To do pani nie należało. I w ogóle na przyszłość radzę pani nie podejmować podobnie ryzykownych akcji na własną rękę. Należało nas zawiadomić o swoich przypuszczeniach.

– Kiedy ja nie byłam jeszcze w stu procentach pewna słuszności swoich podejrzeń. Gdyby okazały się one niesłuszne, znalazłbym się w bardzo trudnej sytuacji. I wobec Perlika, i wobec... siebie.

– Rozumiem panią, ale gdyby nie to, że pani i Szyrg byliście pod naszą ścisłą obserwacją, to ta eskapada na Bielany skończyłaby się bardzo nieprzyjemnie.

– Tak, zdaję sobie z tego sprawę. Ale chciałam się upewnić. Musiałam poznać prawdę. No i postanowiłam zastosować metodę, którą pan wypraktykował na mnie. Metoda, niestety, zdała egzamin... Ale Robert został oczyszczony z tego potwornego zarzutu, Nie powiedział mi pan jeszcze, co się dzieje z Perlikiem – dziwnie ostro zabrzmiało w jej ustach to nazwisko zamiast używanego dotychczas słowa „wujek”

– Gustaw Perlik dostał w chwili aresztowania ataku histerii. Lekarz stwierdził także, że z jego sercem jest bardzo źle. Do tego stopnia, że nie jestem pewny, czy zdołam uzyskać od niego jakiegokolwiek zeznania.

Teresa w milczeniu spuściła głowę.

– Czy to jest ostateczna diagnoza?

– Lekarze nie robią większych nadziei.

Zapanowało znowu milczenie.

– Może to i lepiej dla niego... Straszne to wszystko, straszne! Trudno mi jeszcze teraz zebrać myśli. Wczoraj działałam zupełnie spontanicznie, pod wpływem jedyne go impulsu: oczyścić Roberta. Zapomniałam niemal, że Perlik to przecież kuzyn mojej matki. Że jeśli jest prawdą, o co zaczęłam go podejrzewać, to rodzina może mi nigdy nie darować tego, co zrobiłam. Zresztą i wobec siebie samej będę czuła od tej pory wyrzuty sumienia. No, niech pan sam powie, czy ja mia-



łam prawo tak postąpić! – krzyknęła niemal chwytając się oburącz za blat biurka. – Przecież, przecież ja tym samym wydałam wyrok na niego. Jedyny, jaki może zapaść w tej sprawie!

– Niech się pani uspokoi – Gorzyk podniósł się i stanąwszy przy Teresie delikatnie pogładził jej głowę. – Rozumiem, że jest pani ciężko, to zrozumiałe. Ale przecież postępowała pani słusznie. Taki człowiek, niezależnie od tego, czy łączyły go z panią jakieś więzy pokrewieństwa, nie może pozostawać bezkarnie wśród społeczeństwa. Zresztą mogę panią zapewnić, że nawet bez pani pomocy i interwencji Perlik prędzej czy później zostałby aresztowany. To było nieuchronne.

– Czy mogę się teraz zobaczyć z Robertem?

– Oczywiście, zaraz wydám polecenie, aby wpuszczono panią do niego. I niech się pani trzyma. Nie powinna pani sobie niczego wyrzucać prócz niepotrzebnej lekkomyślności.

Podniósł słuchawkę telefonu.

– Proszę umożliwić pani Keler widzenie się z Robertem Szyrgiem. Leży w naszym szpitalu – wydał polecenie sekretarce. – Porucznik Moczulski chciał się widzieć ze mną? No to dlaczego nie wchodzi? Dawajcie go!

– Dziękuję panu i do widzenia! – Teresa szybko pożegnała kapitana.

Po chwili miejsce Kelerówny zajął porucznik Moczulski.

– Dwadzieścia minut temu Perlik zmarł – zameldował.

– Co?! Lekarze twierdzili...

– Twierdzili, że nie wyjdzie z tego, przecież wiecie o tym. Tyle, że spodziewali się, że nie nastąpi to tak prędko.

– Serce?

– Mhm.

– Czyli, że żadnych zeznań nie macie?

– Kilka zdań, które udało mi się nagrać dziś z samego rana, kiedy Perlik poczuł się chwilowo lepiej. Chcecie tego posłuchać?

– Czy chce? Oczywiście! Dawajcie!

Moczulski założył wyjętą z teczki taśmę na magnetofon. – „W sobotę około wpół do dziesiątej wieczorem poszedłem do Jalonii do hotelu — rozległ się słaby zachrypnięty głos Perlika. –



Pukałem długo do jego drzwi. Nie odpowiadał. Wszedłem do środka... Leżał na łóżku odwrócony twarzą do ściany. Nie obudził się. Potrząsałem go za ramię... i... dwa razy uderzyłem nożem. Nóż miałem przygotowany... Uderzyłem i natychmiast wybiegłem z pokoju. Potem nóż wyrzuciłem do kanału... To wszystko co chcieliście wiedzieć o Jaloniu...”

– „A Karwań?” – to był głos Moczulskiego.

– „... przyszedł do mnie nagle we wtorek wieczorem... Późno... Było koło jedenastej... Przyniósł tę książkę z dedykacjami... Zrozumiałem, że wszystko stracone... Zaciął mu się pistolet... Najpierw uderzyłem w głowę...”

– To wszystko. O Robelkowej niczego nie dowiedzieliśmy się – odezwał się porucznik wyłączając magnetofon.

– Nie szkodzi Ta sprawa jest zupełnie jasna.

– W ten sposób mogliśmy zamknąć teczkę ze sprawą potrójnego zabójstwa. Eh, durny był ten Karwań. Jak można było dać się tak zaskoczyć temu draniowi. Ale cóż, nie naprawimy już tego. Można się odmeldować?

– Tak, tak, oczywiście – Gorzyk od dłuższej chwili nie słuchał porucznika. Podszedł do magnetofonu i jeszcze raz wysłuchał przedśmiertnych zeznań Perlika. Podniósł gwałtownie głowę, poprawiając zmierzwione przed chwilą palcami włosy. – Na razie dziękuję wam, ale będziecie mi jeszcze potrzebni przy opracowaniu protokołu.

Po wyjścia porucznika Gorzyk długo wpatrywał się w smugi deszczu, zacinającego o szyby okienne.

Podszedł do telefonu i połączył się ze szpitalem.

– Czy pani Keler jest jeszcze u Roberta Szyrga?... Proszę ją tam przez jakiś czas zatrzymać. Przydzielę do niej wywiadowcę... Tak, tak, postaram się to zrobić jak najprędzej.

Wychodząc od Roberta Teresa Keler nie przypuszczała, że znalazła się znowu pod troskliwą opieką podwładnych kapitana Gorzyka. Zapewne byłaby także zaskoczona, dowiedziawszy się, że wkrótce po jej odwiedzinach Robert został przewieziony do separatki, w której w towarzystwie dyżurnego lekarza zjawił się Gorzyk.

Szyrg leżał z przymkniętymi oczyma. Wielki siniak na prawym policzku i opatrunek na głowie wskazywały na siłę



otrzymanych uderzeń. Widząc wchodzącego Gorzyka uniósł się nieco.

– No, jak się czujemy? – zagadnął lekarz siadając na krańcu łóżka.

– Dziękuję, zupełnie dobrze. Właściwie, to mógłbym już wrócić do domu. Niepotrzebnie zajmuję tutaj miejsce. Z pewnością nie cierpicie na nadmiar wolnych łóżek, A jeszcze teraz przeniesiono mnie do separatki. Czyżby mi się nagle pogorszyło? – roześmiał się, ale w tym momencie po twarzy przebiegł grymas bólu.

– Jak widać nie powinien pan się śmiać – Gorzyk przysunął sobie krzesło. – Mam nadzieję, że będzie pan w stanie porozmawiać ze mną?

– Oczywiście. To kopnięcie było bardzo bolesne, ale na szczęście żadna kość nie została uszkodzona. – Przez chwilę milczał. – No, a przede wszystkim to nie podziękowałem jeszcze panu za przyjście nam z pomocą. Gdyby nie wasz radiowóz cała ta przygoda mogła się skończyć o wiele bardziej przykro... To był straszny wstrząs dla Teresy. Z pewnością cała ta sprawa odbije się na jej zdrowiu...

Umilkł, przyglądając się badawczo nieruchomej twarzy kapitana. Przeniósł wzrok na drzwi separatki, które zamknęły się cicho za wychodzącym lekarzem.

– Mam nadzieję, że panowie w miarę możliwości ograniczą przesłuchiwanie pani Keler. Wszystko to tak się na nią zważyło... Ja przecież też narobiłem jej wstydu. A jej głównie chodziło, żeby uwolnić mnie od tego okropnego podejrzenia... Ale właściwie te dolary, które chciałem dla Jałonia sprzedać, to w porównaniu z tragediami, których byliśmy niemal świadkami, są rzeczą drobną. Uderzy mnie to po kieszeni, ale trudno – jakoś dam sobie radę. Będę miał nauczkę na przyszłość, żeby nie szukać takich zarobków. Ale ostatecznie każdemu może się przytrafić jakiś głupi i nieprzemyślany wyskok... No, niech pan powie, czy nie mam racji?... Dlaczego ran nic nie mówi?!

– Na razie słuchami pana. Czekam aż pan powie wszystko. Do końca. Niech pan mówi dalej, niczego nie ukrywając. Zrzuci pan z siebie to brzemie. Ostatecznie odpowiedzialność będzie pan musiał ponieść i tak. Nie ma rady...



Rozszerzone gwałtownie źrenice Szyrga zawisły niemal na wargach Gorzyka.

– O jakiej... o jakiej odpowiedzialności pan mówi? Czego pan chce ode mnie? Dlaczego mnie pan ciągle dręczy? Dostyc już tego! Rozumie pan? Dostyc!

– Ma pan rację. Dostyc tej zabawy w ciuciubabkę. Właśnie po to przyszedłem do pana, aby o tym powiedzieć. Pan wie doskonale, że to nie Perlik zamordował Jałonia:

– A kto?!

– Pan! Mamy na to bezsporne dowody. Oto one. Jałoń poniósł śmierć nie na skutek ran zadanych mu nożem, ale na skutek uduszenia. A na skórze szyi badania daktyloskopijne stwierdziły ślady pańskich rąk...

– Na szyi? To niemożliwe!...

– Nie tylko możliwe, ale to jest faktem. Poza tym niech pan nie zapomina o koronnym świadku, który pana zdemaskuje. Jest nim Perlik.

– Perlik świadkiem?!

– Oczywiście. Podczas ostatniego przesłuchania zeznał, że gdy wszedł do pokoju w hotelu Jałoń leżał bez ruchu na łóżku obrócony twarzą do ściany i nie zareagował na jego wejścia ani na szarpanie za ramię.

– To zrobił Perlik! On teraz zwała winę na mnie!

– Nie. Perlik nie zwała winy na pana. On przyznaje się do zabójstwa Jałonia. Zresztą czyż w przeciwnym razie mordowałby porucznika Karwania, który wpadł na jego ślad?

– No więc o co panu chodzi? Perlili przyznał się, a pan nadal chce wmawiać mi to zabójstwo? Dlaczego?

– Bo Perlik nawet nie wiedział o tym, że uderzył nożem ciało, które już od paru minut było martwe. U-d-u-s-z-o-n-e! Rozumie pan?

– To są pańskie ohydne spekulacje! Kłamstwo!

– Niech się pan uspokoi i podpisze ten dokument. To jest stwierdzenie, że przyszedł pan do Jałonia, aby wziąć od niego do sprzedania dolary. W momencie gdy Jałoń wręczał panu banknoty, na skutek nagłego impulsu zadał mu pan cios w głowę, a potem zaczął dusić. Potem już nie było wyjścia,



zabrał pan dolary i uciekł. Niech pan to podpisze... Lepiej teraz to zrobić, niż stanąć z wyrazem „nie” wobec sądu, dla którego te fakty będą bezsporne. Oto pióro.

Głowa Szyrga opadła na poduszkę. Ręce nerwowo mięły koldrę.

– Nie, nie i jeszcze raz nie – mówił półgłosem. ~ To wszystko nieprawda. Ja tego nie zrobiłem i nigdy pan takiego przyznania się nie wymusi ze mnie.

Gorzyk podniósł się.

– To się jeszcze okaże! – wycedził przez zęby i wyszedł z separatki. W tym samym momencie w sąsiedniej dyżurce funkcjonariusz milicji wyłączył magnetofon i z obojętną miną zapakował do teczki zdjęte taśmy.

Natychmiast po powrocie do Komendy Gorzyk został wezwany do pułkownika.

– Rozmawiałem przed chwilą z Moczulskim. Opowiedział mi wszystko dokładnie. Cieszę się, że macie już za sobą tę paskudną sprawę. Przyznam się, że obawiałem się chwilami o jej zakończenie, a raczej o brak zakończenia. Tymczasem wszystko nastąpiło tak samo nagle i niespodziewanie jak i cała seria tych trzech zabójstw. A wobec śmierci Perlika odpadnie nam przynajmniej kłopot z procesem...

– Nie odpadnie.

– Nie odpadnie? Dlaczego? Nie rozumiem was.

– Proces odbędzie się. I zgodnie z waszymi przewidywaniami – poszlakowy.

– Poszlakowy proces? przeciwko komu?

– Przeciwko Robertowi Szyrgowi. To on zabił Jałonia.

– Gorzyk, czy wy macie dobrze w głowie? Perlik przyznał się, a wy występujecie z nowymi koncepcjami?

– Tak, Perlik przyznał się do zbrodni, której nie popełnił. Natomiast Szyrg nie przyznaje się do morderstwa, które było niewątpliwie jego dziełem.

– Macie jakieś konkretne dowody?

– Ba, gdyby nie to, że odciski palców na szyi Jałonia są nie do odcyfrowania sprawa byłaby prosta. Podobnie byłoby nam łatwiej gdyby Perlik żył. W obecnej sytuacji pozostaje nam jedynie zeznanie przedśmiertne Perlika, nagrane



oczywiście na taśmę, no i te wszystkie fakty, które są nam dobrze znane.

I Gorzyk zreferował pokrótce zarówno treść zeznań Perlika jak i przebieg przesłuchania u Szyrga.

Pułkownik przez dłuższy czas milczał, zaciągając się papierosem.

– Czy żadnych dodatkowych faktów nie zdobędziecie już?

– To wszystko, czym mogę dysponować.

– Tak. Mnie przekonaliście. Ale jaki będzie wyrok sądu?

K O N I E C